

Okładka i opracowanie graficzne
EWA KULESZA i WANDA RODOWICZ-CEDROŃSKA

WYDZIAŁ GOSPODARSTWA
KONTYNET
PELEN WODY

Printed in Poland



Istnieje kilka takich rejonów na świecie, które szczególnie mocno oddziałują na wyobraźnię ludzką, zwłaszcza na wyobraźnię mieszkańców stref cywilizowanych, wielkich miast, obszarów silnie uprzemysłowionych. Do takich miejsc, gdzie skołatani, zagonieni, podtruci wyziewami chemii obywatele Europy czy Ameryki tęsknią w rzadkich chwilach wolnych od zajęć, które to miejsca skłonni są nazywać rajem, dokąd pewnego dnia chcieliby uciec — od swoich wspaniałych fabryk, autostrad i lo-

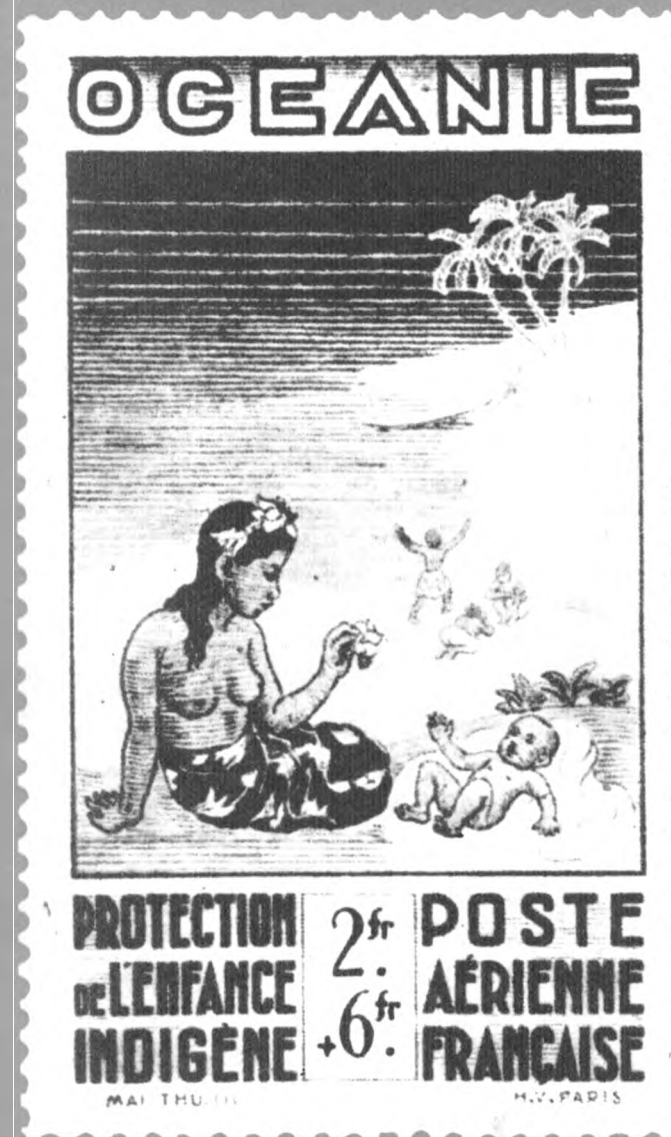
dówek — do takich właśnie miejsc zaliczają się wyspy Pacyfiku. Urok pocztówek i znaczków pocztowych z palmami, skąpo ubranymi krajo-
wcami, z łodziami o charakterystycznym kształ-
cie, nie przestaje pobudzać fantazji. Za mocny
fundament do wolnej gry wyobraźni służą
nadal opowieści Londona i Stevensona, sławne
obrazy Gauguina, a także romantyczne filmy
z Gary Cooperem i cała poezja kolorowych
folderów biur turystycznych.

Wyspy Pacyfiku są częścią światowej rze-
czywistości, przede wszystkim jednak stano-



wią niezrównane tworzywo dla naszych snów
o życiu w pokoju i szczęściu.

Opowieść o dziejach Oceanii nie jest historią
o mitycznym Edenie. Na dziesięć tysięcy wysp
Pacyfiku dociera cywilizacja od wielu lat,
wywołując niekiedy prawdziwie katastrofalne
skutki. W dalekim raju działały się nieraz wyda-
rzenia straszne i dramatyczne, ludzie cierpieli,
krajobrazy ulegały nagłym przeformowaniom.
Ocean Spokojny — jak nazwał go pierwszy
wielki odkrywca Pacyfiku, Portugalczyk de



Magalhaes (F. Magellan) — nigdy nie był zanadto spokojny. Ta część świata padała często ofiarą cyklonów i tajfunów, trzęsień ziemi, była celem wielkich uderzeń oceanu, które zmiatały duże nawet okruchy lądu. Od setek, a może i tysięcy lat Oceania ściągała przybyszy z zewnątrz. Na wyspy przybywali podróżnicy, naukowcy, kupcy, awanturnicy, piraci, misjonarze, wielorybnicy, żeglarze, żołnierze, przykładając ręki do dobrych i złych przemian. Wraz z nimi zjawiały się problemy społeczne i polityczne, następowały zmiany



w kulturze i obyczajach, przekształcał się typ człowieka, odmieniał się pejzaż.

A jednak uchowała się jakaś inność tego świata. Na skrawkach lądu rozrzuconego po powierzchni oceanu, zajmującego trzecią bez mała część obszaru kuli ziemskiej, przetrwało sporo rzeczy unikalnych. Pozostała przede wszystkim do dziś atmosfera mórz południowych, zwolnionego biegu życia, owe wdzięczne tło dla naszych snów i marzeń.

Oceania. Kraina rozległa, ciągle jeszcze odo-

sobniona, w swym jądrze nadal nie zniszczona przez cywilizację i nie stratowana przez turystów. Pasjonujący świat dla etnografa, przyrodnika, badacza kultur. Wyspy skupione są w archipelagach lub rozrzucone i oddalone od siebie od 200 do 2000 kilometrów. Różne rasy, a raczej wielka mieszanka ras. Teren dawnych i nowych spięć politycznych, poligon walk kolonialistów starego i nowoczesnego stylu.

„Po latach europejskiej kontroli — stwierdza autor wydanej gdzieś w tamtych stronach „Opowieści Pacyfiku” — wielu wyspiarzy nie posiadało wiedzy samorządzenia, wykraczającego poza teren grupy plemiennej.” Zaraz potem tenże autor pyta: „jak oni poradzą sobie z epoką samolotu, radia i telewizji, wielkich interesów i międzynarodowej polityki?”

Zostawmy jeszcze na moment takie zmartwienie. Choć z opóźnieniem, nie ominą one najbardziej nawet odległych zakątków Pacyfiku. Popatrzmy na dziesięć tysięcy wysp z odrobiną rozczulenia: coś z naszych dziecięcych fantazji istnieje w rzeczywistości! Na dalekich, ciepłych, kolorowych morzach żyją nadal uśmiechnięci, serdeczni, piękni ludzie, zadziwiają nas swym osobliwym charakterem i niezwykłymi obyczajami.

Przekręćcie teraz globus na tę stronę, gdzie rozlewa się wielka niebieska plama, tu i ówdzie tylko poznaczona śladami lądu. To właśnie tutaj.



DUŻO WODY — TROCHE ZIEMI

Oceania jest — jak to sygnalizuje jej imię — ziemią bez ziemi. O wiele więcej tu wody niż ładu stałego, po którym można chodzić. Kontynent pełen wody!

Cały obszar Oceanii liczy sobie 62 miliony kilometrów kwadratowych. Z tego wyspy zajmują zaledwie sześćdziesiątą część — dokładnie 1.232 tysiące kilometrów kwadratowych.

Geografowie mieli zawsze odrobinę wątpliwości, jak zakwalifikować tę część świata. Traktowano ją bądź oddzielnie, bądź przyłączano do Azji lub Australii. Ta ostatnia koncepcja zwyciężyła: Oceanie pożeniono z Australią.

W istocie Oceania jako całość nie jest Australią, jak również nie przypomina Azji czy Ameryki. Poszczególne wyspy i całe archipelagi ciążą geograficznie, etnicznie, kulturowo i historycznie ku temu lub innemu kontynentowi. Nader słabe nici łączą mieszkańców Wyspy Wielkanocnej z mieszkańcami Nowej Kaledonii

czy Rotumy. Cały oceaniczny układ jest więc poniekąd umowny i aż dziw, że na przykład nie zaliczono do Oceanii archipelagu Galapagos, który również leży na Pacyfiku i jest także — jak sporo tych wysp — pochodzenia wulkanicznego.

Trzeba teraz powiedzieć nieco o sprawach bardziej konkretnych, podać kilka przykładów i faktów. Należy to uczynić, jeżeli dalszy ciąg tej opowieści ma być w pełni zrozumiały.

Cały oceaniczny podkontynent leży między Salavati na zachodzie (130°10' dl. wsch.)





a wyspa Sala y Gomez na wschodzie (105°10' dł. zach.), między atolem Kure na północy (28°25' szer. pn.) a wyspami Campbella na południu (52°37' szer. płd.), Ustalono — żeby było dziwniej — że Nowa Zelandia jest częścią Oceanii, natomiast nie należy do niej np. wyspa Norfolk, Hawaje są częścią składową Polinezji, natomiast nie zalicza się do niej bliższej wyspy Wake, nie mówiąc o Guam i paru innych. Naturalnie o geograficznej klasyfikacji nie zdecydowało jedynie usytuowanie wysp i archipelagów, lecz także skład etniczny ich mieszkańców. W ogóle zaś trzeba sobie spojrzeć na mapę tego rejonu świata, gdzie rozsypały się drobiny Ziemi jak gwiazdy na niebie, i dłuższą chwilę podumać.

Oceania składa się z trzech obszarów: Polinezji (w skład której zaliczają niektórzy uczeni Nową Zelandię, zamieszkaną pierwotnie przez polinezyjskich Maorysów), Melanezji i Mikronezji. Polinezja jest jak wielki latawiec, której dziób stanowi Wyspa Wielkanocna na wscho-

dzie, a skrzydła Hawaje i Nowa Zelandia. Melanezja i Mikronezja, to — gdyby zarysować ich granice — dwa nieforemne balony. Dodajmy, że w granicach Melanezji i Mikronezji leżą dwie polinezyjskie enklawy. Słowem — mówiąc po staropolsku — „wielkie rzeczy pomieszanie”.

Gdyby nie Nowa Zelandia i Nowa Gwinea, Oceania byłaby niemal samą wodą. Nowa Gwinea ma obszar 829 tysięcy kilometrów kwadratowych, stanowi więc powierzchniowo dwie trzecie całego podkontynentu. Jeżeli do tego dodać obszar Nowej Zelandii (268 655 km kw.), nie zostaje już prawie nic.

Pomimo to, a może właśnie dlatego, jest to fascynujący świat. Te tysiące wysp, to nic innego, jak wierzchołki ogromnych podwodnych łańcuchów górskich. Przepastne rowy pomiędzy wyłaniającymi się z oceanu wierzchołkami tworzą równocześnie największe głębie na kuli ziemskiej.

Ustalono, że wyspy Oceanii mają trojaki charakter: kontynentalny (to te w pobliżu Australii), koralowy i wulkaniczny. Kontynentalne, wiadomo: trochę gór, trochę nizin, w sumie coś co się kiedyś „oderwało od bazy”. Koralowe — głównie w Melanezji i Mikronezji — to niskie atole z „dziurą”, czyli laguną w środku, dzieło jamochłonów. W końcu wulkaniczne — rezultat działalności wulkanów (m.in. Hawaje, Karoliny, Mariany).

Skoro połkniliśmy całą tę wiedzę, możemy zaaplikować sobie jeszcze coś niecoś. Przede wszystkim trochę informacji o klimacie — przecież to klimat jest nieodłączną częścią składową obrazów z naszych marzeń! I potem jeszcze parę słów o faunie i florze, bez których Oceania nie byłaby Oceanią.

A więc wszędzie tu jest ciepło, nawet niekiedy bardzo ciepło i wilgotno. Ogromna większość wysp leży w strefie międzyzwrotnikowej, co oznacza utrzymywanie się niemal przez cały rok wysokiej temperatury. Sytuację ratują jedynie stałe wiatry, zwane pasatami. Najgorszy skwar można jednak znieść, jeżeli wieje bryza od morza.

Niestety, bryza często zamienia się w tajfun. Tajfuny rodzą się przeważnie gdzieś nad Karolinami i potem wielką falą przewalają się przez Pacyfik. Najgwałtowniejsze huragany spadają na archipelagi Tonga i Samoa.

Uprzywilejowane są tylko wyspy leżące w pasie kilkuset kilometrów z obu stron równika. Panuje tam równikowa strefa ciszy. Co wprawdzie jest znacznie dogodniejsze dla mieszkańców, ale tu z kolei bardzo dają się we znaki ogromne upały.

Wiemy — trochę z lektury i fotografii, a trochę może ze snów — że Oceanie porasta tropikalna roślinność. Są to przede wszystkim lasy, które w zachodniej części podkontynentu stanowią autentyczną dżunglę. Niemal 90 procent roślinności Nowej Brytanii czy Wysp Salomona nie spotykana jest nigdzie poza tym rejonem świata. Na atolach koralowych dominuje palma kokosowa, niskie krzewy i trawy. Prawie wszędzie można też spotkać — przywiezione tutaj z zewnątrz w ostatnich stuleciach — bananowce, tytoń, krzewy kakaowe, ryż.

Kilka słów o jednym z cudów Oceanii; o owocu drzewa chlebowego. Kapitan James Cook, po swoim powrocie do ojczyzny, napisał między innymi o Polinezji: „Tutaj chleb rośnie na drzewach. Kto ma u siebie drzewo chlebowe, jest zaopatrzony na całe życie”. Wiadomo, że relacje Cooka o odkryciu „drzew

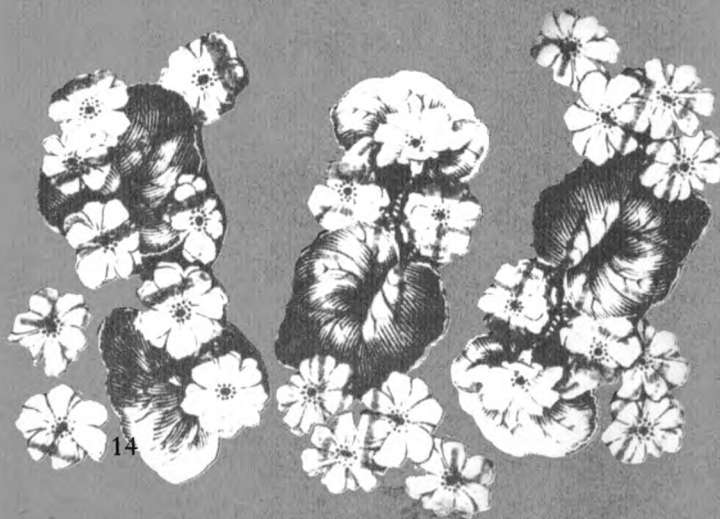


z pieczywem” zrobiło wielkie wrażenie na mieszkańcach Europy, a także na niektórych rządach, pokładających nadzieje w pozyskaniu bogatego źródła masowego pożywienia. Drzewo chlebowe okazało się jednak dość wymagające i nie chciało rosnąć poza strefą najbardziej mu odpowiadającą. A owoce jego, wielkości



głowy dziecka, ich smak i zapach nie wszystkim odpowiadały; nawet ludność rejonu Morza Karaibskiego, niewolnicy, których chciano karmić tanim „chlebem” z drzew, gardziła tym pożywieniem. Polinezyjczycy wszakże lubią owoce chlebowe i potrafią je przyrządzać.

Jeżeli roślinność Oceanii wolno uznać za dość oryginalną, to fauna przypomina nieco australijską, choć jest znacznie od niej uboższa szczególnie w części wschodniej. Do wyniszczenia dawnej zwierzyny Oceanii i zmiany jej składu przez sprowadzenie nowych gatunków przyczynili się walenie kolonizatorzy. Pomimo to pojawiają się tu i ówdzie przedziwne jaszczurki, rzadkie gryzonie czy ptaki, mało znane na świecie. Głównym reprezentantem ssaków jest nietoperz. W sumie, jeden z najuboższych w zwierzynę obszarów kuli ziemskiej. Wyjątek stanowi Nowa Gwinea, gdzie żyją kolczatki, kangury drzewne, a przede wszystkim niezwykle rajskie ptaki, kazuary i kakadu; Nowa Gwinea jest także niezmiernie bogatym światem mikrofauny, której tropikalni przedstawi-



ciele bywają nieraz groźniejsi niż wielkie drapieżniki.

Bogactwa mineralne nie były, jak dotychczas, szczególnym celem agresywności dawnych i nowych kolonizatorów. Dotąd nie dokopano się większych skarbów, choć są podstawy do przypuszczeń że one tutaj istnieją w dużej ilości. Nieco ropy naftowej wydobywa się na Nowej Gwinei, fosforyty eksploatowane są na wyspach Nauru, Bożego Narodzenia i Makatea. Duże zagłębie górnicze stanowi Nowa Kaledo-

nia, gdzie od lat trwa wydobycie niklu, chromitów, manganu, kobaltu, a nawet wolframu i złota.

Tyle wiadomości podstawowych o rejonie świata odległym od Europy o kilkanaście tysięcy kilometrów w linii prostej, Tahiti leży o 18 tysięcy kilometrów od zarządzającej nią centrali, Paryża, o 7 tysięcy kilometrów od San Francisco i aż o 6 tysięcy — od Sydney, które — zdawałoby się — znajduje się tuż obok.

Daleko jest więc bardzo. W epoce odrzutów nie są to wszelako odległości trudne do pokonania. Gorzej było za czasów Cooka, Melville'a czy Bougainville'a, kiedy żeglowano do tego świata miesiącami, a nawet latami. Wówczas Oceania była rejonem tajemniczym, mało zbadanym, w niektórych punktach niebezpiecznym. Pisano o niej niestworzone rzeczy, demonizowano lub idealizowano. Ale — zarówno kiedyś, jak i teraz — morza południowe pozostają silnym magnesem dla tysięcy, a marzeniem dla milionów.

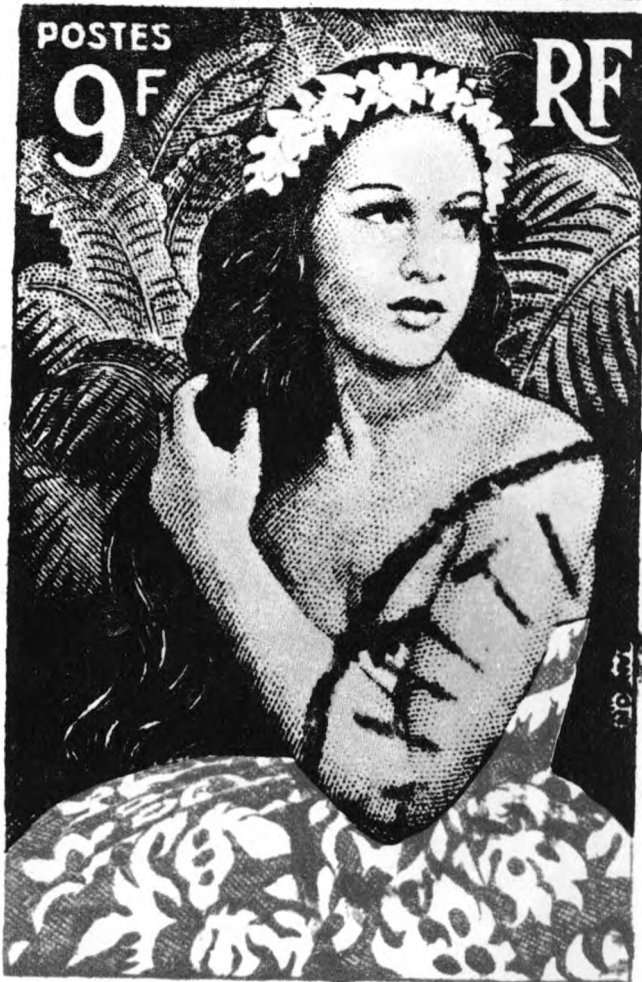
Przez środek Oceanii przechodzi linia daty. Przekraczając ją ze wschodu na zachód, gubi się bezpowrotnie jeden cały dzień. To szczególne i dosyć symboliczne przeżycie potęguje się jeszcze po paru tygodniach podróży wśród wysp Pacyfiku — ma się wówczas uczucie rozwiania się gdzieś ostatnich paru stuleci.

Wiemy już zatem mniej więcej, jak to wszystko wygląda. Zanim będziemy kontynuować gawędę, proponuję krótką, bezpośrednią relację z podróży na Tahiti. Żeby od razu poczuć smak tego świata. Komentarz powinien być bowiem tylko uzupełnieniem obrazu.

Przypomina się w tym miejscu Jonathan Swift i jego „Podróże Guliwera”. Wiadomo, że kapitan Lemuel Guliwer odwiedził prze-



ETS FRANÇAIS DE L'OCEANIE



dziwny świat z pogranicza jawy i snu. Wizytował rozmaite krainy, przeważnie wyspy — Lilliputu, Blefusku, Laputę, Luggnaggu itd. — i przyglądał im się ze zdumieniem. W rozdziale szóstym „Podróży” czytamy: „Lubo przedsięwziąłem opisać to państwo w osobnej książce, uważam za rzecz potrzebną dać na tym miejscu Czytelnikowi ogólne o nim wyobrażenie”. Opisał więc kapitan to państwo, a także wiele innych.

Moja podróż, o której pragnę dać teraz „ogólne wyobrażenie”, przypominała chwilami jako żywo relacje Guliwera. Oceania jest najdziwniejszym bodaj rejonem kuli ziemskiej.

A więc: Tahiti!

JEDEN Z RAJÓW

Ogromny, kwiatowy ogród. Obsypane kwiatami krzewy, drzewa, całe łąki. Kwiaty stanowią główny motyw ozdoby kobiecych sukni i *pareau*, owych szat przepięknie malowanych (a ostatnio drukowanych w Japonii), w które się owijają. Również w kwiaty są męskie koszule. Młodzi i starzy mieszkańcy noszą zatknięty za ucho kwiatek — za prawym uchem oznacza on kawalera, za lewym osoby już zajęte. Niektórzy ozdabiają odzienie dużym kwiatem *hibiscusa* lub *gardenii*.

Pachnie jak w gigantycznej kwaciarni. W łagodnym powietrzu unosi się woń buganwili, frangipani, róż, tysiący trudnych do nazwania roślin i kwiatów. Ma się ochotę kichać — w nosie kręci od kwiatowych pyłków, w oczach miga od kolorów.

Do wielkiego bukietu Tahiti należy zaliczyć i ludzi. Sławny francuski malarz impresjonista,



Paul Gauguin, pisał w swych pamiętnikach: „Dzicy. Ten wyraz jawił mi się nieuchronnie na ustach, gdy przyglądałem się czarnym istotom o zębach kanibalów. Wszelako dostrzegłem już ich wdzięk swoisty, osobliwy...”

Tak, cudowna jest rasa polinezyjska! U Gauguina, w relacjach wszystkich dawnych podróżników i — obecnie. Piękny jest krajobraz, prawie zawsze malownicze góry wyrastające wprost z oceanu, piękni są ludzie i ich obyczaje. Dziewczeta tahitańskie, słynne *v a h i n e*, nadal czarująco obnoszą swe barwne *p a r e a u*. Jedyna wyraźna różnica w sposobie ubierania się mieszkańców Polinezji za czasów Gauguina i obecnie, to dokładniejsze niż niegdyś okrywanie nagości.

Tylko rzadko, w chwilach wyjątkowej depresji, mieszkańcy Tahiti są smutni, a raczej naburmuszeni jak dzieci. Na co dzień mają urok bezpośredniości. Natura wyposażyła ich w harmonijne kształty, ale obdarzyła skłonnością do tycia. Co krok widzi się fantastycznie szerokie, rozrośnięte plecy, niektóre kobiety w średnim wieku wyglądają jak żywe mastodonty.

Kiedy któreś z nich odczuwa głód, sięga po najbliższej wiszący owoc. Ale nikt nie usiłuje zbierać ich w cudzym ogrodzie, by je potem sprzedawać. Więzienia na Tahiti nie cieszą się frekwencją.

Na tych wyspach nie ma jadowitych gadów, płazów i owadów, wyjątek stanowi parząca stonoga, a jedynym groźnym szkodnikiem są termyty atakujące drewniane domy. Tahiti jest także wolne — wbrew twierdzeniom Jacka Londona — od niszczących tajfunów.

Archipelag miał więc swego wielkiego ambasadora w osobie Paula Gauguina. Genialny



artysta malarz uciekł tu kiedyś od cywilizacji i stał się piewą tych „barbarzyńskich” stron. W pamiętniku zanotował m.in.: „Z tego szczytu ziemi rozkosznej, jakże litości godne są owe troski o przeszłość, w których tkwi miejska pewność swej wagi. Cywilizacja — niestety! — soldateska, handel i biurokracja”. Gauguin cieszył się krajobrazem tahitańskim, nie skażonym techniką i chemią, pierwotnymi obyczajami ludzi, izolacją od świata. Księżycem zdrowym, świecącym ostro, bezgranicznie romantycznym.

Dziś po Gauguinie pozostały nazwy ulic, placów, skwerów. Istnieje muzeum jego imienia, jest nowe kino samochodowe „drive in”. I jest państwowe liceum w mieście Papeete, stolicy archipelagu. Gauguin wspaniała i nie bardzo za życia szczęśliwy stał się teraz oficjalnym idolem i reklamowym wabikiem na wyspach Polinezji Francuskiej.

Gauguin kochał Tahiti bez hoteli, samolotów i konserw. Malował ludzi i pejzaże w kolorach

i formach, które gorszyły i zdumiewały świat. W pamiętniku notował: „Kłaść kolor czerwony obok niebieskiego! Czemu wahalem się, miał dać spłynąć na płótno całej tej słonecznej radości?... Ten krajobraz olśnił mnie i oślepił!”

Minęło dwieście lat od odkrycia tych wysp przez Samuela Wallisa, sto lat od opanowania ich przez Francuzów. Wszędzie rozlał się asfalt i beton. Przerzedziły się palmowe gaje. Kwiaty zwarzone zostały spalinami tysięcy samochodów i motorówek. Czyżby myliło się tahitańskie przysłowie: „Koral rośnie i palma,



a człowiek — umiera”?... Wydaje się, że jest akurat odwrotnie: umiera koral i palma. Przybywa natomiast ludzi, asfaltowych pustyń, tlenków węgla i ołowiu.

Na lotnisku o przedziwnej nazwie Faaa siadają odrzutowce z Paryża, Meksyku i Tokio. Przybywają turyści spragnieni wrażeń i urody tego odległego świata. Polinezyjskie słowo t a b u oznacza już tylko... zakaz parkowania.

Jak mówił londonowski bohater z „Opowieści mórz południowych”? — „Ta straszliwa zrzeczność białych diabłów, ta ich obrotność,



zdolność ujarzmiania żywiołów. Tak, biali ludzie dziwni są i nadzwyczajni. To diabły!”

Oto „diabły” ściągają teraz tabunami. Odpoczywają tu po walkach w swoim świecie. Jest ich już co roku około 60 tysięcy. Mieszkają w bunkrach z betonu, nazywanych hotelami. Wystawiają swoje białe ciała do słońca i zarumieniają się komicznie; nie darmo nazywa się ich tutaj „Czerwonymi”.

Od 1959 roku Polinezja jest zamorską prowincją Francji. Należące do niej wyspy za-



mieszkane są przez 120 tysięcy ludzi. Polinezja wysłała jednego posła i jednego senatora do parlamentu w Paryżu.

Turyści mogą dziś oglądać dokumenty pierwszych europejskich lądowań na archipelagu. Wolno im wspominać kapitanów Wallisa, Bougainville'a, Cooka, Bligha z jego sławnym statkiem „Bounty”. Mogą też odwiedzać groby królów i książąt tahitańskich z dynastii Pomare, ostatni ślad Polinezji niezależnej. W pierwszej i drugiej wojnie światowej Polinezyj-

czycy umierali na wszystkich frontach świata za Francję; wzniesiono im za to pomnik w centrum Papeete:

Na Tahiti nie tak dawno mierzono czas pozycją słońca nad wyspą Moorea. Dziś w Papeete działają stacje radiowe i telewizyjne, a chronometry chodzą według czasu paryskiego. W 1300 szkołach archipelagu polinezyjskie dzieci uczą się języka francuskiego. Francuski obowiązuje w urzędach i sądach. Biały człowiek dyktuje rytm tego kraju.

Tubylcy jednak wierni są jeszcze ciągle swoim tradycjom, ale nauczyli się już na nich zarabiać. Pewnego wieczoru w moim hotelu nad brzegiem oceanu odbywały się występy grupy wokalnno-tanecznej. W blasku płonących głowni (a także reflektorów) pięknie zbudowane dziewczęta i rośli chłopcy zademonstrowali zebrany stare pieśni i tańce Tahiti: t a m u r e (podobny do hawajskiego hula-hula), a p a r i m a, o t e a, w końcu akrobatyczny taniec ognia. Wszystko było szalenie nastrojowe, romantyczne, oryginalne, chwilami aż nieco kiczowate. Aktorzy, ozdobieni wspaniałymi kwiatami, szeleścili pękami włókien, poruszali się miękkim ruchem ludzi urodzonych na ogromnych obszarach Oceanu Spokojnego.

Jak wszyscy dokoła, byłem urzeczony spektaklem. Nastrój popsuł mi się gwałtownie, kiedy wkrótce potem zobaczyłem tych samych polinezyjskich artystów, ubranych w dżinsy, a dosiadających wściekle warczącej motocykli i skuterów.

Rytm cywilizacji wyczuwa się w Papeete, 30-tysięcznym, na pół drewnianym, bardzo kolonialnym miasteczku. W chińskich sklepach handluje się wszystkim, co nadaje się do sprzedawania. Tylko na kolorowych bazarach po-

zostało coś z tradycyjnego życia archipelagu; ludzie zwożą owoce avocado, mango, banany, pomarańcze, owoce drzewa chlebowego. Także masę perłową, korale, koszyki, tkaniny ręcznie malowane. Papeete jest już jedną nogą w Europie, ale drugą tkwi jeszcze w epoce panowania królowej Pomare IV.

Dobrze się stało, że Francuzi nigdy właściwie nie tępilli pięknych tahitańskich tradycji, nie zabierali Polinezyjczykom ziemi i że dziś czynią niemało dla upowszechnienia oświaty. Choć równocześnie trudno nie zauważyć, iż dla utrzymania tego strategicznie ważnego kraju udają, że Polinezja nie jest żadną kolonią.

Tahiti zamienia się teraz w jedno wielkie lotnisko. Wszystko drożeje. Buduje się coraz to nowe hotele, ale szosa dookoła wyspy, jak była tak jest marna. Prąd elektryczny dochodzi tylko na kilkanaście kilometrów od Papeete. Ludzie sprytni robią fortuny na spekulacji ziemią. Są to przeważnie Europejczycy lub „demni” — mieszańcy. Prawdziwi właściciele wyspy przejmują funkcje służby w knajpach i hotelach. Ludzie w górach przymierają głodem. Nieco lepiej jest na wybrzeżu, bo można łowić ryby; niestety coraz częściej mówi się, że z powodu atomowych wybuchów i ryby nie będą wkrótce jadalne...

Na pięciu archipelagach Polinezji Francuskiej (Wyspy Towarzystwa, Tuamotu, Gambiera, Markizy i Tubai) dzieją się teraz rzeczy ważne. W związku ze wzrostem liczby ludności i trudnościami na rynku pracy, trwają ruchy migracyjne z wyspy na wyspę.

Na najdalszych nawet archipelagach pogłębia się kryzys tradycyjnego systemu patriarchalnego i rozluźnia się więź rodzinna. W sąsiedztwie poligonów atomowych trudno upierać się

przy sposobie życia sprzed trzystu lat. Jak gdyby wbrew temu, w wielu gminach Wysp Towarzystwa istnieją np. nadal tradycyjne ośrodki młodzieżowe, organizujące solidarną pomoc sąsiedzką dla wszystkich, pragnących budować na wsi dom.

Wyspy Towarzystwa na Pacyfiku wpisano do rejestru miejsc, które umówiono się nazywać rajem na Ziemi. Do upowszechnienia tego mitu przyczyniły się książki Stevenson, Melville'a, Maughama, Londona, a także liczne filmowe melodramaty i sentymentalne piosenki. Przed drugą wojną światową śpiewano także w Polsce „Księżyc nad Tahiti złotym blaskiem łśni...”

Jeszcze od czasu do czasu ma się ochotę zawołać za Gauguinem: „Jak dobrze jest żyć!” Ale pochód cywilizacji z każdym rokiem coraz wyraźniej tłumi takie okrzyki.



STULECIA CIERPIEŃ

Opowieść o Pacyfiku, której obszernym rozdziałem są m.in. dzieje Tahiti, zaczyna się przed tysiącami lat, gdy pierwsi osadnicy przyплыli na swoich łodziach z dalekiej Azji. To, że przybyli z Azji, nie ulega dziś wątpliwości. Wszelkie hipotezy wiążące genezę ludności Oceanii ze starożytnym Egiptem, a nawet legendarną Atlantydą, nie zostały potwierdzone.



Do chwili pojawienia się Europejczyków, życie płynęło w spokoju i przez długi czas jego formy prawie nie uległy zmianom. Mało wiemy o tysiącletniach, w każdym razie człowiek żyjący tu w roku 200 naszej ery miał niemal identyczne obyczaje, język, religie, używał tych samych narzędzi, co jego potomkowie w XVI wieku.

Do wielkich zmian doszło dopiero w momencie zawitania w te strony białego człowieka.

Przed niespełną pięciuset laty nie było niko-

go na świecie, kto by wiedział coś o krajach i ludziach na Oceanie Spokojnym. Pierwszymi Europejczykami, którzy ujrzeli Pacyfik, byli żołnierze hiszpańscy (w Panamie, pod wodzą Vasco Balboa). Ale dopiero Ferdynand Magellan w 1520 roku sforsował niebezpieczną cieśninę (która nosi dziś jego imię) i wpłynął na wody nowo odkrytego oceanu. Wielki żeglarz przemierzył potem cały Pacyfik, dotarł do Marianów, a następnie do Filipin, gdzie czekała nań śmierć.

Hiszpanie byli więc pierwsi. Przez długie lata poszukiwali w tej okolicy mitycznego Południowego Kontynentu i jego skarbów. Odkrywali kolejno rozmaite wyspy, handlowali z krajowcami lub mordowali ich, ale Południowego Kontynentu nie znaleźli. Któryś z nich napisał: „Czy to możliwe, żeby było tyle wody, a tak mało ładu?”

Pewnego dnia skończył się wszakże monopol dzielnych a okrutnych rycerzy króla Hiszpanii. Na wody Pacyfiku wpłynął Anglik, Francis Drake (1577), a następnie Holender, Abel Tasman, odkrywca Australii, Nowej Zelandii i wysp Tonga.

Największą bodaj postacią w historii odkryć na Oceanie Spokojnym stał się kapitan James Cook, wielki angielski żeglarz i odkrywca, twórca pierwszej mapy Pacyfiku. W 1769 roku, czyli zaledwie przed dwustu laty, jego mały statek, „Endeavour”, przybił do brzegów Tahiti. Potem odwiedził wiele innych wysp, a jego dowódca zapisał swe imię na trwałe w annałach wielkich odkryć.



W końcu XVIII wieku Oceania była mniej więcej spenetrowana. Okazało się, że nie jest kontynentem złota i diamentów, kryje natomiast wiele innych skarbów. Zanim oceniono wkład tego rejonu świata do kultury powszechnej i zrozumiano, czym jest w paście kolorów naszej planety, stał się terenem łowców wielorybów, poszukiwaczy pereł, handlarzy. Przybywali także misjonarze — początkowo katolicy, później protestanci.

Kiedy w niewiele lat po Cooku przycumował przy brzegach Tahiti statek „Duff” z grupą misjonarzy na pokładzie, krajowcy po raz pierwszy stwierdzili, że biały człowiek nie przybywa jedynie dla zabrania ich kobiet i skarbów. Głosiciele nowej wiary popłynęli następnie na Samoa i inne wyspy Polinezji. Dziś Oceania pełna jest świątyń chrześcijańskich różnych wyznań.

Gdy odeszli wielorybnicy, wyspy mórz południowych najeżeli amatorzy łatwego zysku. Tysiące małych stateczków zaczęły krążyć wśród wysp, a ten ożywiony ruch łączył się przeważnie



z cierpieniem mieszkańców. Oceania stała się terenem plantacji trzciny cukrowej, krzewów kawowych i kakaowych, drzew cytrusowych i kauczukowych, a także palm kokosowych, cennego źródła oleju i kopry.

Jedną z najbarwniejszych opowieści mórz południowych jest historia buntu na brytyjskim żaglowcu „Bounty”. Ten awanturniczy epizod z drugiej połowy XVIII wieku stał się motywem wielu utworów literackich i licznych filmów (m. in. ze sławnym Charlesem Loughtonem oraz Marlonem Brando na czele). Bunt wybuchł w 1789 roku w pobliżu Wysp Towarzystwa na statku, którego misją było przewiezienie drzew chlebowych z Oceanii na Morze Karaibskie. Dwudziestu siedmiu członków załogi (na czterdziestu sześciu) obezwładniło kapitana Williama Bligha i lojalnych mu ludzi, a następnie popłynęło na wyspę Pitcairn, gdzie potomkowie buntowników żyją do dnia dzisiejszego. Bligh i jego towarzysze — po pokonaniu 6 tysięcy kilometrów — dotarli na małej łodzi do wyspy Timor.

Tło tego wydarzenia nie zostało do dziś wyjaśnione. Większość badaczy przychyliła się do opinii, że przyczyną buntu była chęć zawładnięcia ładunkiem i pieniędzmi. Są tacy, którzy twierdzą, że rebelia miała charakter społeczny, albowiem wśród zbuntowanych było aż czternastu najciężej pracujących marynarzy.

Po przebiciu Kanału Panamskiego i wejściu na morza statków parowych, Oceania zatłoczyła się białymi kolonizatorami. Zaczęła się powszechna, brutalna eksploatacja mieszkańców Polinezji, Melanezji i Mikronezji. Spokojnych, gościnnych, serdecznych wyspiarzy z Pacyfiku zamieniono w towar — pojmanyh siłą niewol-

ników wysyłano masowo do Meksyku i Peru, gdzie byli sprzedawani na targowiskach.

Wydawane z inspiracji Anglików lub pod ich firmą książki historyczne stwierdzają, że flota brytyjska spowodowała pewnego dnia przerwanie obrzydliwego procederu handlu niewolnikami.

Bez względu na to jak było naprawdę, faktem jest, że Anglicy osiedlili się na stałe w Oceanii. Nie byli, oczywiście, jedyni. Rozpoczęła się rywalizacja wielkich ówczesnych mocarstw, pragnących zagarnąć dla siebie słoneczne wyspy.

Początkowo na scenie zmagających znajdowali się Hiszpanie, Holendrzy, Francuzi i Anglicy, następnie dołączyli do nich Niemcy i Amerykanie.

Z biegiem lat zmieniali się protektorzy poszczególnych wysp i całych archipelagów. Kolonizatorzy tasowali karty. Kupowano i sprzedawano kraje wraz z ich ludnością. Toczone bitwy o tę i inną grupę wysp. Niektóre wyspy znalazły się pod wspólną kontrolą dwóch lub nawet trzech państw.

Do większych przegrupowań i zmian stanu posiadania doszło w czasie pierwszej i drugiej wojny światowej. Wydarzenia na głównych frontach walk odbijały się tu szerokim echem. W pierwszej wojnie doszło nawet do nielicznych, bezpośrednich starć zbrojnych, natomiast w latach ostatniej wojny Oceania zachodnia stała się terenem niezwykle krwawych zmagających państw sprzymierzonych z Japończykami.

Po drugiej wojnie atole Eniwetok i Bikini stały się poligonem broni atomowej. Biały człowiek kontynuował swą akcję niszczenia wspaniałego świata.

Pierwszym krajem Oceanii, który uzyskał

niepodległość, była zachodnia część archipelagu Samoa (1962), o której obszerniej za chwilę.

Ktoś znający te strony stwierdził, że na Pacyfiku znalazłoby się jeszcze teraz to i owo do odkrycia. Jest w tym twierdzeniu zapewne sporo prawdy — wewnątrz Nowej Gwinei, a także niektórych wysp w archipelagach Salomona i Bismarcka, nie są jeszcze dokładnie zbadane.

Warto sobie uprzytomnić, że północne wyspy w archipelagu Nowe Hybrydy zostały odkryte późno, bo w roku 1788 (Anglik W. Bligh). Dopiero w latach 1826—1829 oraz 1837—1840, a zatem przeszło sto lat temu, Francuz J. Dumont d'Urville odkrył całe mnóstwo zupełnie nie znanych wysp Polinezji i Melanezji. W latach 1871—1877 i 1878—1882 Rosjanin N. Mikłuchow-Makłaj zwiedzał i badał Nową Gwineę, zachodnią Mikronezję i północną Melanezję, odkrywając wiele całkowicie nowych prawd o tym świecie.

Ale powróćmy do bliższych nam czasów. Osobnym rozdziałem w historii Oceanii był okres II wojny światowej. To wtedy po raz pierwszy zaczęły się w tej okolicy dziać rzeczy naprawdę dramatyczne. Wtedy doszło tu do wydarzeń ważnych dla całej ludzkości.

7 grudnia 1941 roku Japończycy niespodziewanie zaatakowali amerykańską bazę na Pearl Harbor. W ten sposób Stany Zjednoczone znalazły się w stanie wojny z państwami Osi.

Równocześnie Japończycy rozpoczęli szeroką operację podboju Oceanii. Opanowali bardzo szybko wyspy Gilberta, wyspę Guam na Marianach i wyspę Wake, a później Nową Brytanię, północną część Nowej Gwinei i Wyspy Salomona. W bezpośrednim niebezpieczeństwie znalazła się Australia, gdzie z dnia na dzień oczekiwano japońskiego desantu. W maju 1942 roku





rozegrała się wielka bitwa morsko-powietrzna na wspaniałym Morzu Koralowym, po której zahamowano pochód Japończyków. Nie powiodło się również Japonii opanowanie wyspy Midway. Karta się odwróciła, alianci powoli odzyskiwali teren. Do najkrwawszych walk doszło w latach 1942—1943 na Wyspach Salomona — przez kilkanaście miesięcy zmagano się tam w straszliwych warunkach tropikalnego kraju.

Ostateczny rezultat wojny wszyscy dobrze znamy. Dla Japończyków, którzy pragnęli opanować cały rejon Pacyfiku, skończyła się ona w blasku bomb atomowych Hiroszimy i Nagasaki.

Tak więc wolno uznać, że dopiero lata drugiej wojny światowej włączyły ten daleki, późno odkryty, izolowany rejon do teatru światowych wydarzeń. Nie było to najprzyjemniejsze wejście na karty historii, ale — jak wiemy — dość powszechne w burzliwych dziejach rodzaju ludzkiego.

Teraz możemy już udać się z wizytą do Samoa Zachodniego, pierwszego samodzielnie rządzącego się kraju na Pacyfiku.

ŚMIAĆ SIĘ — I BYĆ SZCZĘŚLIWYM

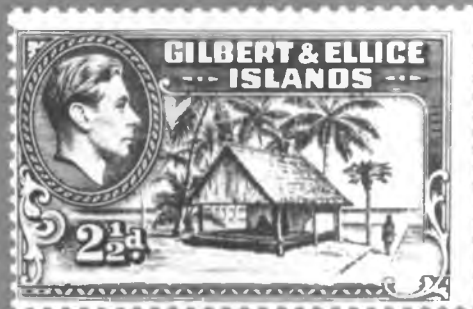
Piewca Pacyfiku, Rupert Brooks, napisał o Samoa: „To piękno absolutne, tak czyste, że trudno tym oddychać. Samończycy są najcudowniejszymi ludźmi na świecie, poruszają się i tańczą jak bogowie i boginie”.

Kraina ta leży na zachodnich krańcach Polinezji, tuż koło Międzynarodowej Linii Zmiany Daty, która oddziela dzisiaj od jutra. Dokładnie: między 13° a 15° szerokości geograficznej po-

łudniowej i 168° a 173° długości zachodniej.

Mieszkałem w małym drewnianym hotelu przy ulicy Nadbrzeżnej w Apii, stolicy Samoa Zachodniego. Stąd robiłem wypadu do miasta i poza miasto.

Przede wszystkim — ludzie. Ich zauważa się w pierwszej kolejności. Odznaczają się niezwykłą pogodą. Śmieją się z byle przyczyny i bez powodu. Z czego ci ludzie tak się cieszą? Czyżby powietrze zmieszane tu było z gazem rozweselającym? Czy życie w tym kraju jest aż tak bez troskie?



Poruszają się z wdziękiem. Tańczą przy muzyce i bez muzyki. Grupa dziewcząt kołysze się w biodrach na progu kościółka. Wcześniej, w czasie jazdy z lotniska do stolicy, naliczyłem czterdzieści jeden większych i mniejszych, przeważnie drewnianych świątyń. Samoa było zawsze celem energicznej działalności wszystkich możliwych wyznań i sekt chrześcijańskich, szczególnie mormonów i adwentystów. Od lat kto może usiłuje zbawiać mieszkańców wysp Pacyfiku.

Dawno, bo w latach międzywojennych, pisał Richard Katz w swej książce „Żniwo wędrówek”:

„Któż mógłby ludowi mórz południowych wpoić „moralność”? Kto potrafiłby przekonać tych dziecięco pogodnych i pod każdym względem przyjaznych ludzi, że ich dusza (tak im zupełnie obojętna!) ważniejsza jest od pięknego ciała (z którego są bardzo dumni)? Zadanie to starało się spełnić mnóstwo misjonarzy... Ale łatwiej byłoby upilnować worek pcheł...”

Wszyscy znawcy tego kraju stwierdzają jed-



nogłośnie, że Samończycy są prawdziwie szczęśliwi. Ważnym składnikiem pojęcia samońskiego szczęścia jest chyba sam sposób życia. Filozofia bytowania sprowadza się tu do zasady: „Mało pracować — dużo wypoczywać”. A symbolem tej filozofii jest tradycyjny dom samoński, fale. Dom kryty grubą strzechą, bez ścian, składający się z jednej „ażurowej” izby, a więc idealnie przewiewny. Innymi słowy: złożony z dachu, podpartego pewną ilością drewnianych słupów, opierających się na pod-

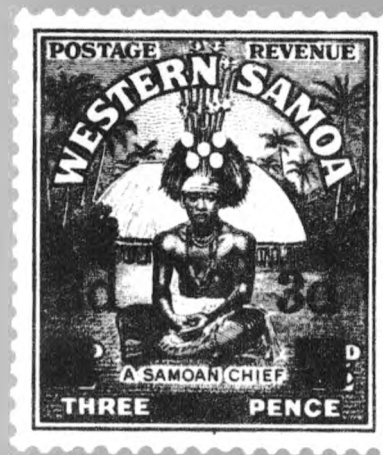
murówce z lawy lub cementu. Pod takim dachem, na rozłożonych matach, żyje sobie mniej-sza lub większa — przeważnie większa — rodzina.

Apia atakowana jest teraz przez budownictwo europejskie. Ale f a l e podchodzą aż pod ulicę Nadbrzeżną. W stolicy zaledwie 1% domów korzysta z kanalizacji, a 19% — z wodociągów, posiłki przygotowuje się — jak przed ośmiuset laty — na powietrzu, w ogrzewanych rozpalonymi kamieniami piekarnikach ziemnych, umu.

Cywilizacja podkopała już nieco w Apii wiarę mieszkańców w tradycyjne szczęście pod strzechą przepelnionej f a l e. Ale w 122 pozostałych wsiach dziewięciu wysp takich zakłóceń słodkiej świadomości jest jeszcze bardzo mało.

Dzieje archipelagu nie są zbyt obszerne i nie zanadto — jak przystało na każde szanujące się dzieje — krwawe. Samoa należy do krajów szczerze miłujących pokój, niepodległość uzyskało bez cierpień i walk, tradycyjnej ceny wolności. Nastąpiło to 1 stycznia 1962 roku. Jakieś informacje o dawnych potyczkach z Tongańczykami należą do opowieści legendarnych, a dziewiętnastowieczne awantury miały jedynie charakter rozgrywek pomiędzy Europejczykami, którzy w Apii usiłowali dzielić skórę na polinezyjskim niedźwiedziu; potem biali wynieśli się, na wyspie Upolu objął zaś panowanie Jego Wysokość Malietoa Tanumalfi II.

Jeżeli wierzyć niektórym naukowcom, Samoa było matecznikiem ludów Polinezji. Wyspa Savaii uważana jest za legendarną Hawaiki, której mieszkańcy ruszyli później na podbój Pacyfiku, docierając aż do Wysp Hawajskich, Wyspy Wielkanocnej i Nowej Zelandii. To są raczej efektowne hipotezy niż udokumentowane fakty historyczne. Co do trzech dat nowszej



historii nie ma na ogół wątpliwości: 1722 — przybycie holenderskiego żeglarza Jacoba Roggeveema, 1786 — lądowanie francuskiego podróżnika i odkrywcy, Bougainville'a, 1830 — pojawienie się na Savaii pierwszego misjonarza, Johna Williama.

W drugiej połowie XIX wieku doszło do wspomnianego małego zamieszania — na archipelagu stawili się prawie równocześnie Amerykanie, Niemcy i Anglicy. W momencie dramatycznej konfrontacji okrętów wojennych tych państw nadszedł gwałtowny huragan, zatopił niemiecki okręt „Adler” i ugasił namietności. Po różnych przetargach, wzajemnych szantażach i szamotaniach, Amerykanie objęli w posiadanie Samoa Wschodnie, a Niemcy — Zachodnie. Od początków pierwszej wojny światowej do roku 1961 miejsce Niemców zajęli Nowozelandczycy, początkowo jako mandatariusze Ligi Narodów, później — powiernicy ONZ. Tylko z rzadka pojawiały się na błękitnym niebie archipelagu gwiazdy większego blasku, jak np.

pułkownik amerykański niemieckiego pochodzenia, A. B. Steinberger, premier u boku króla Samoa przed stu laty, jedna z najciekawszych i najbardziej kontrowersyjnych postaci wysp południowego Pacyfiku.

Te „gry i zabawy” ludzi białych w małym tylko stopniu obchodziły mieszkańców tropikalnych wysp. Ludność postanowiła nie wtrącać się do tego (z wyjątkiem krótkiego antykolonialnego etapu działalności ruchu „Opinia” w latach 1929—1930), cierpliwie czekać i — być szczęśliwą.



Jak Gauguin na Tahiti, tak Stevenson na Samoa należy do najważniejszych osobowości historycznych.

Robert Louis Stevenson, autor „Wyspy Skarbów”, „Dr Jekyll i Mr. Hyde” i wielu innych głośnych powieści i opowiadań, żył na Samoa Zachodnim pięć lat, tu sporo pisał, tu w 1894 roku zmarł. Stevenson, po samońsku „Tusitala”, jest dziś reprezentacyjną postacią archipelagu — na lekcjach szkolnych poświęca mu się więcej uwagi niż Napoleonowi. Na górze Vaea pod Apią, wśród bujnej zieleni, z widokiem na ocean, zbudowano pisarzowi grobowiec.

W dawnym domu Stevensona, w podapijskiej Vailima, mieszka obecnie i urzęduje prezydent państwa.

„Tusitala”, autor powieści sensacyjnych, napisał w zachwycie kilka poematów na cześć urody tego kraju. Fragment jednego z takich utworów wyryto na kamiennej tablicy, która znajdzie się przy wejściu do rezydencji głowy państwa.

Tak więc jeden stary i chory Anglik o niezwykłej dla Samończyków profesji pozostawił po sobie więcej niż parę tysięcy Niemców, którzy szarogęsili się tu przez lat trzydzieści kilka (z czego piętnaście oficjalnie).

Samończycy często wypowiadają swoje obawy o zgubne skutki kontaktu z cywilizacją. Stacji telewizyjnej dotychczas nie zainstalowali, w czym pomaga im skutecznie brak funduszy; w Apii odbiera się programy telewizji z Pago-Pago na Samoa Amerykańskim, co stanowi nie najlepszą rekomendację osiągnąć cywilizowanego świata. Mają zamiar wybudować trzy nowe hotele dla zagranicznych turystów, ale stwierdzają otwarcie: „Wzniesiemy tylko te trzy. Zobaczymy, czy ich działalność nie zagrozi naszym zwyczajom”.

Pragną zachować jak najwięcej z przeszłości w stanie nienaruszonym. Dotyczy to wszystkich niemal dziedzin życia. Od architektury mieszkalnej poczynając, na strukturze społecznej i obyczajach skończywszy. Jeżeli przyjmowano jakieś propozycje ze świata cywilizowanego, to głównie, by adaptować je dla własnych potrzeb (np. kościoły uczyniono ośrodkami działalności społecznej we wsiach, a szefowie rodów — m a t a i — stawali się niekiedy kapłanami różnych wyznań).

Lęk o samońskie obyczaje wypowiada obszernie premier Tupua Tamasese na konferencji prasowej, którą opisał tygodnik „The Samoa Times” (dziennika w Apii nie ma). Tym samym problemem zajmują się czytelnicy, piszący do redakcji „Timesa” w każdym niemal numerze: „Chcemy zachowania naszej wspaniałej wielkiej rodziny, a i g a. Pragniemy utrzymania autorytetu szefów rodziny, m a t a i. Nasza siła leży we wspólnym działaniu. Do-

póki działają m a t a i, nikt nie jest głodny. Niech więc pozostanie naszą bazą na Samoa.”

Samończycy mają żyzną ziemię, a uprawiają ją całymi klanami rodowymi. 80 procent powierzchni gruntów samońskich stanowi taką wspólną własność. Tej ziemi nie wolno ani sprzedać, ani podarować, nie wolno nawet oddać jej w dzierżawę.

Naturalnie również i o tych sprawach decydują m a t a i, szefowie rodów z wyboru, arystokracja archipelagu. To oni nie dopuścili nigdy do parcelacji i rozdrobnienia ziem samońskich, ale też doprowadzili do ogromnego skomplikowania problematyki rolnej. W latach sześćdziesiątych doszło do pewnego niebezpiecznego wyłomu: pozwolono na dzierżawę ziemi cudzoziemcom; w pierwszej kolejności skorzystała z tego kalifornijska firma drzewna Potlach, instalując się na wyspie Savaii; dalsi kandydaci już się zgłaszają.

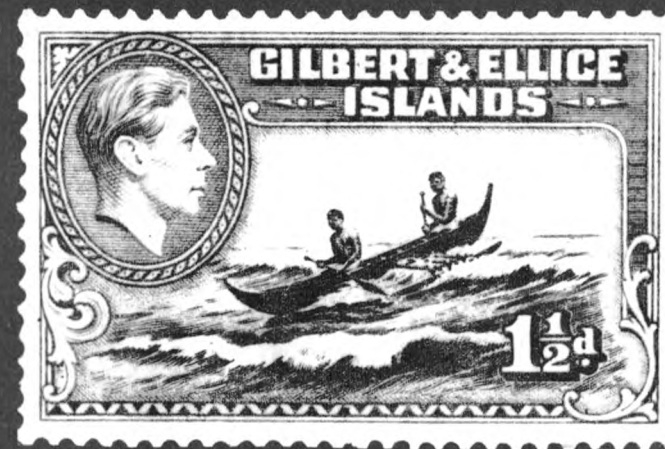
Największe wrażenie zrobiła na mnie wspomniana już droga między miastem a lotniskiem. To o tej drodze powiedział pisarz amerykański,



James Michaner, że jest „najpiękniejszą trasą samochodową Południowego Pacyfiku”.

Samochód jedzie wyboistą, krętą szosą. Mija niezliczoną ilość wsi i osad. Wszędzie roi się od ludzi. Większość mężczyzn nosi spódniczki zwane lava-lava. Ludzie spacerują po szosie, krążą po łąkach i zagajnikach, siedzą na ziemi, jedzą, niańczy dzieci. Ktoś leży na trawie podparty w zadumie na łokciu. Wszyscy pozdrawiają z entuzjazmem pasażerów przejeżdżającego autobusu. Kierowca śpiewa głośno, co nie przeszkadza mu odpowiadać na powitania setek przyjaciół, a pewnie i członków rodziny. Wszędzie, aż po horyzont, pełno jest dzieci — biegają, bawią się, śpiewają, płaczą. Statystyka mówi, że połowa obywateli Samoa nie skończyła 15 lat!

Powiada się, że na tych wyspach z górą 3/4 ludzi żyje dziś dokładnie tak samo jak przed ośmiuset laty, co zadziwia i zdumiewa wszystkich przybywających ze strefy cywilizacji. Samoa jest więc teraz na świecie czymś w rodzaju reliktu zamierzchłej przeszłości.



JEST ICH 8 MILIONÓW

Mało w Oceanii ziemi i mało ludzi. Oblicza się, że — nie uwzględniając mieszkańców Australii — żyje tu około ośmiu milionów ludzi, co stanowi zaledwie ćwierć procent ogólnej ilości mieszkańców kuli ziemskiej. Rejon ten nie jest więc zbyt gęsto zaludniony.

Długo, bardzo długo — na pewno przez cały wiek XIX — oceniano ludność Oceanii na dwa miliony. Wiadomo zaś, że przed przybyciem kolonizatorów wyspy Pacyfiku były zaludnione o wiele gęściej — niektóre źródła podają, że w końcu XVIII wieku Papuasi, Polinezyjczycy, Melanezyjczycy i Mikronezyjczycy liczyli łącznie do 3,5 miliona. Barbarzyńskie metody stosowane przez zdobywców, a potem alkoholizm i przywleczone choroby poczyniły ogromne spustoszenia. Do największego dramatu doszło, jak wiadomo, na wyspach Nowej Zelandii, gdzie zdziesiątkowano Maorysów, pierwotną ludność tego kraju.



Tu krótka dygresja. Maorysi, przybyli na Nową Zelandię ze wschodnich wysp Oceanii, należeli do najdzielniejszych ludzi obszaru Pacyfiku. Po podboju wysp w początkach XIX wieku przez Anglików, Maorysi wielokrotnie chwyтали za broń. Wielkie powstania trwały w latach 1845—1848 oraz 1860—1872. W rezultacie z 300 tysięcy pierwotnych mieszkańców Nowej Zelandii pozostało 40 tysięcy. Wbrew jednak powszechnym, pesymistycznym przewidywaniom, ludność maoryska zaczęła się odradzać i obecnie liczy — wraz z metysami — przeszło 200 tysięcy.

Równowaga etniczna została dodatkowo naruszona przez osadnictwo europejskie i amerykańskie, a także — np. na Fidżi — imigracje hinduska.

Oceania nie została dotychczas zaatakowana przez klęskę urbanizacji. Zaledwie 10% ludzi mieszka w miastach. Niektóre wyspy są rzadko zamieszkałe (np. Nowa Gwinea, wyspy Salomona, Nowa Kaledonia, gdzie przypada 2—5



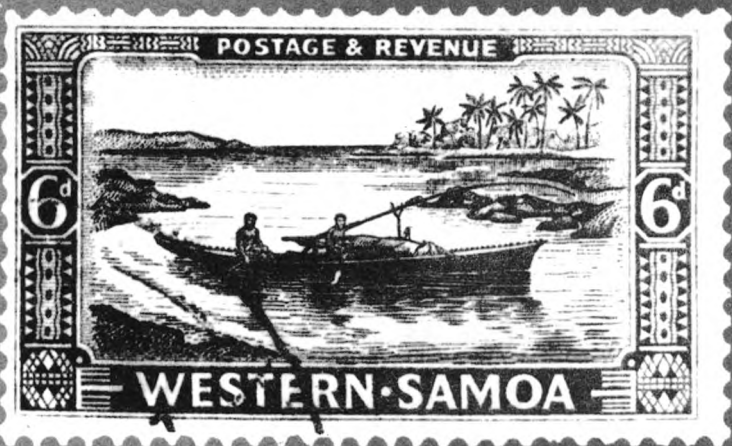
mieszkańców na km²), inne — bardzo gęsto (Nauru — 230 mieszk. na km², Tokelau — 200 mieszk. na km²).

Wielu etnografów i antropologów badało pochodzenie mieszkańców i opisywało ich wygląd. A różnice między tymi mieszkańcami są ogromne.

Na wielu wyspach dominuje typ negroidalny (Nowa Gwinea, Nowa Kaledonia, Fidżi), na innych — mongoidalny (zachodnie Karoliny), na jeszcze innych — australijski, a nawet ajnowski*.

Z językami tego regionu też jest mnóstwo kłopotów; naukowcy zarzucili dawno podział na cztery grupy — mikronezyjską, melanezyjską, polinezyjską i indonezyjską — i ustalili istnienie niezwykle skomplikowanej mozaiki językowej; do ostatnich odkryć należy wyprowadzenie pokrewieństwa wielu języków Oceanii z językami pierwotnej ludności południowych

* Ajnowie, pierwotna ludność Japonii.



Chin. Na wielu wyspach jest w użyciu szczególny rodzaj języka, „pidgin”, składający się ze słów francuskich, angielskich, niemieckich, chińskich i wyrażen z języków Pacyfiku; „pidgin” czyli „cudowne pomieszanie”, pozbawiony całkowicie gramatyki, jest dziś drugim najpowszechniejszym językiem mórz południowych.

Na ogół panuje zgodność co do opinii, iż pierwsi przybyli tu ludzie o typie murzyńskim. Prawdopodobnie stało się to w epoce poprzedzającej jeszcze uprawę ziemi przez człowieka. Byli to głównie myśliwi. Przywędrowali, przypłynęli (bo przecież nie spadli z nieba) z Afryki poprzez południową Azję. Czarnoskórzy mieszkańcy Oceanii są uderzająco podobni do niektórych plemion afrykańskich, mają budowę i barwę skóry Pigmejów. Przywykli do życia w warunkach tropikalnych dżungli, zamieszkali w lasach Nowej Gwinei, Australii i niektórych wysp Oceanii.

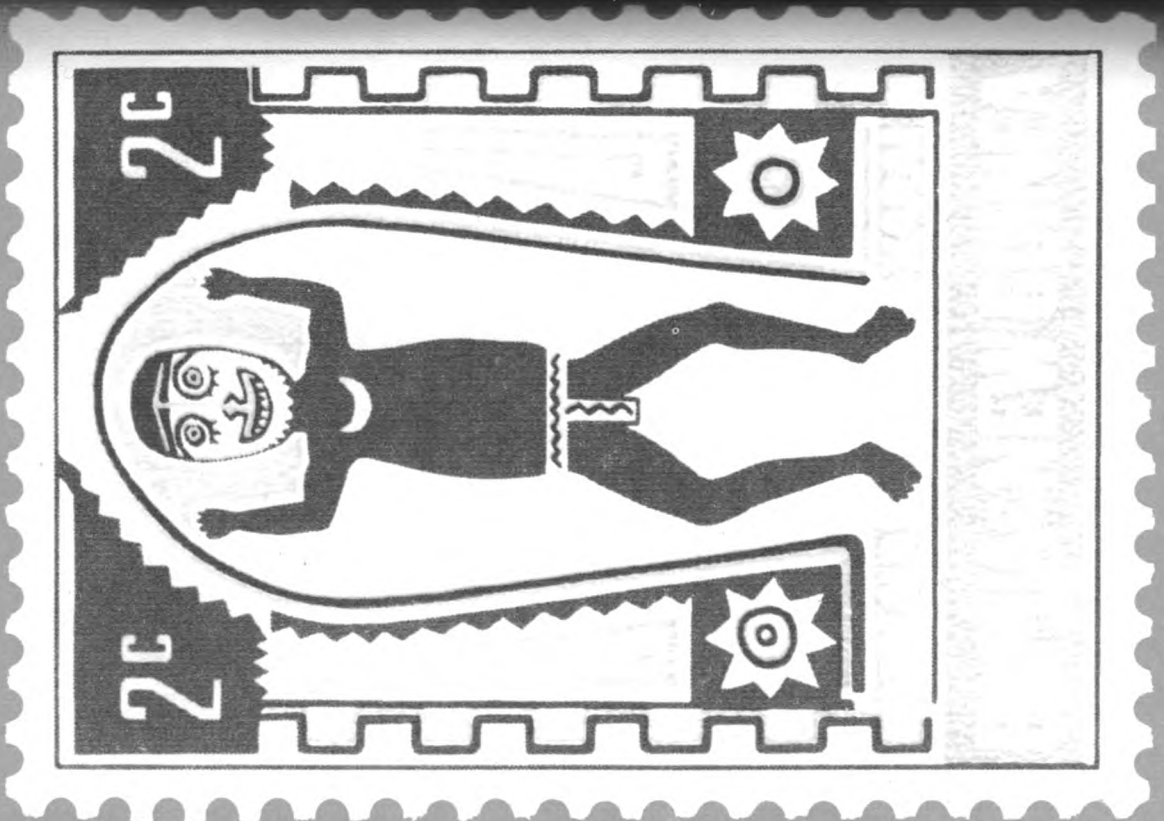
Tak czy inaczej, istnieje dziś na wyspach

Pacyfiku owo „wielkie rzeczy pomieszanie”. Bywa, że w zwartym archipelagu mieszkańcy jednej z wysp mają inny wygląd lub mówią innym językiem. Zdarza się, że ludy zaliczające się do tej samej polinezyjskiej lub melanezyjskiej rodziny, różnią się zdecydowanie między sobą.

Zaledwie paręset lat minęło od agresji, której dokonał w tym rejonie świata biały człowiek, a zmiany są ogromne. Antropolodzy poszukują dziś syntez — już na niewiele zda się studiowanie oderwanych problemów, np. konfliktów między wsią polinezyjską a chrześcijaństwem czy niechęci Papuasów do pracy na plantacjach.

Wszyscy ci ludzie, zamieszkali w świecie pełnym wody, wytworzyli w sobie określone, a łączące ich cechy. Można je najłatwiej obserwować na atolach koralowych, niekiedy kilkuset metrów szerokości. Powstała tam społeczność o silnym poczuciu solidarności, odporna na niebezpieczeństwa natury. Niestety, ludzie ci byli często niepokojeni przez przybyszów z zewnątrz, Japończycy, a potem Amerykanie, czynili z pięknych i szczęśliwych atoli „nie tonące lotniskowce”; mieszkańcy Bikini musieli opuścić na zawsze swoją ojczyznę, ponieważ biały człowiek tu właśnie — i na atolu Eniwetok — dokonał prób swojej broni nuklearnej.

W ostatnim półwieczu doszło do pewnych ruchów ludności, spowodowanych względami natury ekonomicznej. Niektórzy mieszkańcy Samoa Wschodniego przenieśli się, w poszukiwaniu lepszych warunków, na Hawaje lub do Stanów kontynentalnych. Wielu Polinezyjczyków, zwłaszcza z wysp Tonga, Cooka, Samoa Zachodniego, Niue, osiedliło się w No-





wej Zelandii. Rozwijający się przemysł górniczy Nowej Kaledonii i Nowych Hybrydów przyciągnął tysiące mieszkańców innych wysp.

Istnieją opinie o niemożliwości psychicznego i biologicznego asymilowania mieszkańców Oceanii z tzw. kulturą zachodnią. Inni wierzą w pozyskanie wyspiarzy dla owej kultury poprzez wpajanie im pojęć nowoczesnego świata, przez wciąganie ich w system światowej gospodarki. Za wszystkimi tymi ocenami kryje się często pragnienie utrzymania wysp Pacyfiku w kleszczach kolonializmu. Naturalnie w zmodernizowanej formie.

Tymczasem mieszkańcy różnych rejonów Oceanii starają się uratować co możliwe ze swojej tradycji, z filozofii życia. Obawiają się nowinek, ale bodaj nie wszystkich. Tak na przykład, wiele ludów Oceanii rządzi się od wieków „socjalistycznie” — pracuje w grupach, uprawia wspólną ziemię, na zasadzie komunalnej użytkuje duże łodzie, domy, gospodarstwa. Z natury przekładają one organizację społeczną ponad wybujały indywidualizm.

Świat mórz południowych jest nieustannie odkrywany przez tysiące współczesnych Magellanów i Cooków. Przeważnie nie chodzi o jeszcze jeden okruch ładu i jego tajemnice — strefą ciągle nie zbadaną są ludzie tych stron, ich mentalność i obyczaje.

ŻYCIE WŚRÓD DUCHÓW

Wiadomo powszechnie, że wyspiarze Pacyfiku mają swą bogatą, oryginalną sztukę. Ale tu od razu zaskoczenie: genezą sztuki ludów Oceanii nie jest poczucie piękna i pragnienie zaspokojenia potrzeb estetycznych, lecz potrzeba



pełnienia pewnych funkcji informacyjnych i — co najistotniejsze — zabiegi magiczne.

Mieszkańcy archipelagów i poszczególnych wysp żyją za pan brat z duchami przodków, z demonami i bóstwami. Dzieła malarstwa i rzeźby mają charakter religijny, widowiska taneczne też są przeważnie związane z wierzeniami. Świat doczesny zaludniony jest milionami istot niedostrzegalnych gołym okiem, ale ważnych, wpływowych, niekiedy niebezpiecznych.

Sztuka Oceanii nigdy nie była zbyt realistyczna. Wszystko jest artystycznie deformowane, fantazja może zmieniać kształt postaci ludzi i zwierząt. Artyści amatorzy tego rejonu kuli ziemskiej są urodzonymi abstrakcjonistami. Ich ornamenty w domach, na przedmiotach, a także tatuaż, mają często wymyślne formy geometryczne lub organiczne. Tę samą tendencję można zobaczyć na ozdobach broni, instrumentach muzycznych, tkaninach, biżuterii, maskach.

Obszary morza południowego nigdy nie były bogate w metal, w związku z czym nie on jest najważniejszym tworzywem artystów. Jest nim przede wszystkim drewno, kamień, muszle, kość, kora, skorupa żółwia, glina, łyko i ptasie pióra. Za barwniki służą farby roślinne i ziemne. Dopiero w ostatnich latach weszły tu na rynek tworzywa sztuczne, przyczyniając się do obniżenia piękna i wartości przedmiotów sztuki.

Melanezja szczyci się przede wszystkim obfitością rzeźby figuralnej, bogatą ornamentyką i świetną kolorystyką. Nowa Gwinea słynie ze wspaniałych, pełnych ekspresji masek i figur o groteskowej formie. Niezwykle są niektóre budowle o charakterze kultowym i ozdoby łodzi morskich.





Sztuka Polinezji jest o wiele spokojniejsza, mniej monumentalna, ale za to wyjątkowo harmonijna w wyrazie. I tu występuje rzeźba figuralna, niekiedy niezwykła (np. na Wyspie Wielkanocnej czy w Nowej Zelandii). Godne uwagi są posągi bóstw, płaszcze i nakrycia głowy z piór, plecionki, ornamenty na przedmiotach codziennego użytku.

Nieco mniej atrakcyjnie prezentuje się sztuka Mikronezji, choć i tu wysoki poziom osiągnęło tkactwo i plecionkarstwo (Karoliny i Wyspy Marschalla).

Od lat trwa wielka moda na sztukę Oceanii. W wielu krajach (także w Polsce) powstały muzea z kolekcjami dzieł sztuki ludów Pacyfiku, rozwinęły się badania naukowe. Artyści Oceanii zainspirowali wiele kierunków awangardowych, m.in. kubizm i ekspresjonizm.

Fizyczne odizolowanie wielu wysp wytworzyło lokalne, często wspaniałe, bardzo wyspecjalizowane kierunki rzemiosła artystycznego.

Może najbogatszą dziedziną sztuki, a zarazem najpełniej oddającą potrzeby duchowe i artystyczne, najlepiej przekazującą rytm życia ludów Pacyfiku, jest taniec.

Taniec na wyspach mórz południowych mówi o życiu, śmierci, miłości, nienawiści, dumie, wojnie, przygodzie. Dlatego w tym rejonie świata można podziwiać taniec, który jest jak łagodne kołysanie się fal, a zaraz potem obserwować straszne, hałaśliwe, groźne widowisko taneczne. Są tańce, opiewające wyprawy morskie, inne — wyrażające rozpacz pozostawionej wdowy (Puka-puka), jeszcze inne — apelujące do bogów i demonów o łaskę, deszcz, szczęście dla rodziny itp.

Są tańce pełne wdzięku i humoru, są także ponure tańce rytualne, których uczestnicy wpro-

wadzają się w stan hysterii lub autohipnozy. Wielką rolę odgrywa w czasie seansów tanecznych akompaniament muzyczny, strój (lub jego brak), akcesoria w postaci ozdób, masek, broni.

Wiadomo, że jeszcze przed przybyciem Europejczyków podróżowały wśród wysp Oceanii grupy profesjonalne, demonstrujące — w zamian za cenne przedmioty i żywność — rozmaite tańce. Byli to Arioi, członkowie „sekt aktorów, tancerzy, śpiewaków i muzyków”. Zachowały się dokumenty, świadczące o organizowaniu przez Ariotów widowisk tanecznych, których punktem kulminacyjnym była ofiara z żywego dziecka.

Równocześnie — a także i później — istniały tańce, towarzyszące ucztom ludożerczym, egzekucjom wrogów i tym podobnym przerażającym imprezom.

Ale też nigdzie bodaj na świecie nie było tak pięknych, wzruszających, głęboko ludzkich tańców i pieśni miłosnych. Tak doskonałych artystycznie wyrazów radości życia.

Największą grupę tańców Oceanii stanowią utwory ilustrujące określoną sytuację historyczną, legendę, epizod rodzinny, wydarzenie plemienne.

No i oczywiście — duchy. Z nimi rozmawiają na wszystkich wyspach tancerze i pieśniarze. Jest bardzo wiele już nie tańców, ale całych baletowych widowisk, których treść związana jest ściśle z losem wyspiarzy, ich wierzeniami, walką ze światem zewnętrznym. Nawet tak nietaneczna ceremonia, jak picie *y a q o n y*, owego osobliwego napoju mórz południowych, wymaga wykonania całego szeregu ruchów i gestów natury choreograficznej; wielka ich część odwołuje się wprost lub pośrednio do sfery zjawisk metafizycznych.

Hollywood spopularyzował salonową wersję niektórych tańców mórz południowych. Zwłaszcza tańce hawajskie i tahitańskie doczekały się swojej kabaretowej karykatury. Są to przeważnie popłuczyny po wspaniałych produkcjach artystycznych Polinezji czy Melanezji.

Niech melanezyjski archipelag Fidzi posłuży nam za przykład funkcjonowania niektórych dziedzin oceanicznej sztuki. A przy okazji: przypatrzmy się problemom tego kraju, o którym krąży nadal — choć ładują tu od rzutowce — tysiące mitów.

LUDOŻERCÓW JUŻ NIE MA

Przez wiele dni pobytu na Fidzi słyszałem ze wszystkich stron informacje o ledwie minionej epoce rozbuchanego kanibalizmu; książki, nie wyłączając propagandowych folderów dla turystów, teksty w gazetach, eksponaty w muzeum, objaśnienia przewodników — wszystko to opowiada o szeroko praktykowanym ludożerstwie w okresie, gdy w Polsce przeminęło już powstanie styczniowe; typową pamiątką z wysp fidzijskich jest czterozębny widelec kanibalski, oferowany turystom na każdym kroku w charakterze „sympatycznej” maskotki.

Życie na 322 wyspach archipelagu, niedawno jeszcze ludożerczego, biegnie dziś własnym, nader oryginalnym torem. Tutaj, w samym środku kontynentu pełnego wody, dzieją się od lat sprawy fascynujące.

Do wszystkich zmartwień tej krainy tropikalnych dżungli, kanibalskich tradycji, magicznych zabiegów, doszedł w ostatnich stu latach kłopot największy: sprowadzenie przez Anglików ludności pochodzenia obcego, głów-

nie Hindusów, a tym samym stworzenie stałych ognisk wewnętrznego konfliktu.

Sam dźwięk „Fidzi” brzmi dla wielu uszu kolorowo i egzotycznie. Ma on jednak i głębszą treść: na Fidżi, ważnym punkcie na szlakach linii lotniczych, współczesność, cywilizacja, postęp gmatwiają się z zamierzchłą przeszłością w sposób wyjątkowo dotkliwy.

Mieszkam w stolicy archipelagu, Suwie, ale raz po raz zanurzam się w brunatnej pianie dżungli, która rozciąga się dookoła na wyspie Viti Levu. Korzystam z łazienki i innych wygod, co chwila jednak cofam się o sto lat, do epoki gwałtu, awanturników, panowania króla ludożercy, Ratu Thakombau.

Dzięki specjalnemu zezwoleniu głównego chiefa Fidżi i ministra do spraw ludności fidżijskiej, Ratu George'a Thakombau (tak, człowiek inny — nazwisko identyczne), wolno mi postawić stopę na wyspie Mbau. Minister zadzwonił do swego brata, który mieszka na wyspie, i polecił mnie jego opiece. I tak dotarłem na 20-akrową wysepkę Mbau, zwaną kiedyś nieprzyjemnie Ulu-ni-Vuaka, czyli Świńska Głowa.

Mbau jest fantastycznie zielona. Ten kolor posiada nie tylko trawa, drzewa i krzewy, ściany i dachy domów, ale chyba też morze i oczy wszystkich mieszkańców.

Zaglądam do zaciemnionego budynku, v a t a n i t s u a k e, w którym zbiera się starszyzna plemienna; na środku leżą maty z liści pandanu, na ścianach wiszą portrety wodzów Mbau i Fidżi.

W połowie XIX wieku wyspa Mbau była twierdzą. Rządził nią wspomniany król Ratu Thakombau, postrach archipelagu. Organizował łupieżcze wyprawy, z których przywożo-

no setki jeńców. Na sąsiednich wyspach słyszano nieustannie dudnienie bębnow wojennych, l a l i, zwołujących mieszkańców Mbau na makabryczne uczty. Piece ludożercze nigdy nie wygasaly. Sam Thakombau słynął z okrucieństwa. Własnoręcznie roztrzaskiwał głowy niewolników ogromną maczugą. Potem krwawy władca poniósł szereg klęsk, bo mieszkańcy sąsiednich wysp mieli dość jego wyczynów i zjednoczyli swe siły. Thakombau wycofał się na swoją wysepkę i wyglądało na to, że zaszła jego gwiazda. Pewnego dnia władca z Mbau postanowił





przyjąć chrześcijaństwo. Zapewnił sobie w tym pomoc króla Tonga. Polecił zburzyć pogańskie świątynie, zakazał poligamii i ludożerstwa, ukrocił obyczaj duszenia wdów.

Odwiedzam kościół, który wznosił nawrócony kanibal. Zbudowano go z białych skał i koralu. Chrzcielnicę wykonano z wielkiego kamienia *v a t u n i b a k o l a*, na którym niegdyś dokonywano egzekucji wdów.

Thakombau natychmiast po chrzcie napadł na sąsiadów z półwyspu Kamba. Był teraz rycerzem krzyżowym i niósł świętą wiarę. Wkrótce stał się panem zachodniej części archipelagu. Tymczasem rosły niebezpiecznie wpływy Tongańczyków. W obawie przed nimi król zaczął przyciągać Europejczyków. W latach sześćdziesiątych przybyli pierwsi europejscy osadnicy. Na wyspie Ovalau powstała ich osada, dzisiejsze miasto Levuka. W roku 1871 Thakombau proklamował się królem Fidżi.

W 1874 roku, czyli po trzech latach istnienia niepodległości królestwa, Thakombau po-



prosił Anglię o objęcie protektoratu, na co królowa Wiktoria — nie bez wahania — przystała.

Ale opuśćmy wyspę Mbau i przejdźmy do aktualności. Najostrzejszy obecnie problem wysp sygnalizowałem na początku rozdziału: kształtowanie się form współżycia dwóch głównych grup ludnościowych — Fidżijczyków i Hindusów. Ten spadek po przeszłości jest o wiele kłopotliwszy niż pamięć o orgiach na Świńskiej Głowie.

Jeżeli na Fidżi istnieje konflikt pomiędzy grupami narodowymi, to jest to dzisiaj przede wszystkim konflikt interesów, a nie ras. Z jednej strony widzi się liczne majoryzowanie Fidżijczyków przez przybyszów z Indii — przemysł, handel, a częściowo i administracja znajdują się w rękach Hindusów, Europejczyków i Chińczyków. Z drugiej strony nie dopuszcza się Hindusów do posiadania ziemi, która w ogromnej większości stanowi własność Fidżijczyków, a także brytyjskich towarzystw przemysłu spożywczego.

Na archipelagu Fidżi mieszka 225 tysięcy Fidżijczyków, czyli rdzennej ludności pochodzenia melanezyjsko-polinezyjskiego, i 226 tysięcy Hindusów.

Większość szkół zachowała charakter jedn narodowościowy, Fidżijczycy i Hindusi żyją na ogół w oddzielnych dzielnicach miast i osadach wiejskich. Małżeństwa mieszane są rzadkością. Nawet partie polityczne są „własnością” grup narodowych — rządząca Alliance Party składa się prawie wyłącznie z Fidżijczyków, opozycyjna National Federation Party jest hinduska.

Sekretarz generalny partii opozycyjnej, członek parlamentu, adwokat Karam Chand Ramrakha, powiedział mi: „Chcemy porozumienia i ścisłej współpracy z Fidżijczykami. Lękamy się wybujałych nacjonalizmów, które mogą wybuchnąć, zwłaszcza gdy odejdzie liberalny premier Ratu Sir Kamisese Mara. Już teraz daje znać o sobie nacjonalistyczna Fijian Power”.

Jony Naisara, minister do spraw młodzieży i sportu, bardzo spokojnie zaprzeczył obawom przed niebezpieczeństwem ekstremistycznego nacjonalizmu Fidżijczyków. W rozmowie ze mną stwierdził: „Cała nadzieja w młodzieży. Byłoby dobrze, gdyby Hindusi przestali aranżować każde niemal młode małżeństwo. Doszłoby szybciej do zmieszania i integracji. Wśród ludności hinduskiej jest więcej analfabetów i dzieci poza szkołą niż wśród Fidżijczyków. To jeden z rezultatów zatrudniania nieletnich na plantacjach trzciny cukrowej”.

Ci dwaj znakomici obywatele wierzą w młodzież. Pozostaje jeszcze tylko, by młodzież wierzyła w nich. Z tym jest gorzej. Grzeczni uczniowie szkół w różnokolorowych mundur-

kach oceniają stosunki z pokoleniem dorosłych na Fidżi bez złudzeń: „Pokolenie naszych rodziców nie nadała za cywilizacją”, „Chcą rządzić nami, urabiać nas na swoje podobieństwo, narzucać autorytet chiefów, a to już przeszłość”.

Na spotkanie z pewnymi obyczajami Fidżi, które nie zerwało jeszcze z przeszłością, pojechałem do miejscowości Korolevu na zachodnim wybrzeżu wyspy Viti Levu. Miałem obserwować imprezę chodzenia boso po rozpalonych do białości kamieniach.



Powiedzmy od razu: łażenie po gorących głazach, wsypanych na ognisko do wielkiego dołu, wydaje się czynnością dla tubylców dosyć zwyczajną. Aktorzy widowiska niczego nie odgrywają, jeszcze ich tego specjaliści od turystyki nie nauczyli. Pewien uczonec z Wielkiej Brytanii pisze o *vila-vilairevo*, chodzeniu po ogniu („firewalking”), że nie ma tu żadnego triku czy oszustwa, podaje różne teorie opanowania tej sztuki. Dwaj inni uczeni brytyjscy oświadczyli po długich badaniach, że mieszkańcy wsi Rukua z wyspy Bengga — bo jedynie oni posiadają ową tajemnicę rozgrzewających spacerów — wprowadzają się w szczególny stan jakąś formą autosugestii, że nie smarują stóp żadną substancją, że ich skóra ma grubość identyczną jak u normalnego człowieka.

Przedstawienie odbywało się po zmroku na małej polance w tropikalnym lesie. Do niedawna widowisko to było dostępne jedynie milionerom, którzy opłacali całą ludność wsi Rukua. Wzrost fali turystów pozwolił na upowszechnienie imprezy. Blask od płonącego ogniska oświetlał wysokie drzewa. Z daleka szumiał ocean. Rzucane w ogień mokre liście podnosiły kłęby pary. Deptacze rozpalonych kamieni wznosili dzikie okrzyki, szeleścili spodniczkami z rafii, przebiegali po ogniu we wszystkich kierunkach.

Obok pracowali operatorzy telewizji. Nie była to jednak miejscowa ekipa; rząd i parlament Fidżi nie potrafią do dziś zdecydować się, czy dopuścić do zainstalowania na wyspach sieci telewizyjnej. W długotrwałej dyskusji na ten temat przeważają argumenty o szkodliwości TV, o zgubnych wpływach na młodzież, o groźbie zniszczenia przez nią starych fidżyjskich obyczajów i systemu społecznego.

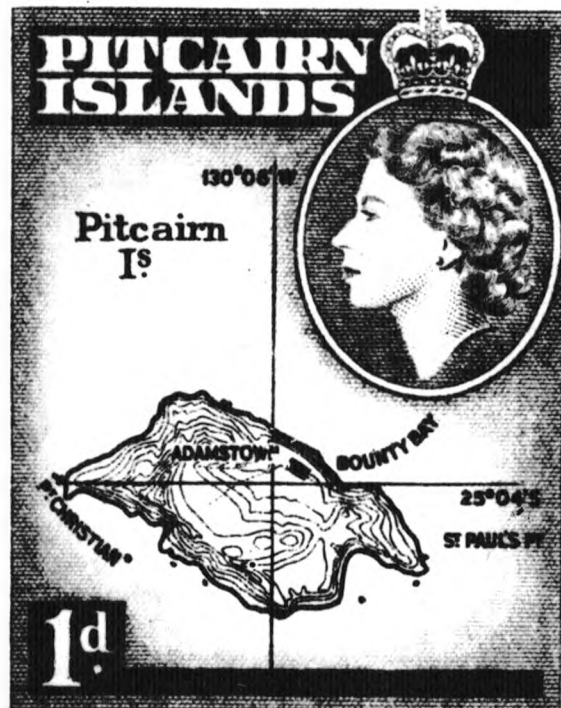
Istnieje ciekawa legenda o chodzeniu po ogniu.

Pewien młodzieniec postanowił złować węgorza, ale złapał chochlika leśnego. W owym czasie Fidżijczycy zwykli byli pakować do pieców wszystko co żyło, nie wyłączając mieszkańców sąsiednich wiosek. Chochlik przestraszył się więc i błagał o przywrócenie wolności. Obiecywał w zamian wiele skarbów. Daremnie. W końcu rzekł: „Puść mnie, a uczynię ciebie i twoich potomków nieczułymi na żar rozpalonych kamieni”. Młodzieniec wypuścił chochlika i odtąd członkowie szczepu Sawan posiadają tajemnicę władzy nad ogniem.

Przed i po wizycie w Korolevu musiałem ze względu na grzecznościowo-kurtuazyjne właściwości w sobie większą ilość napoju *y a q o n a*, zwanego na innych wyspach Oceanii *k a v a*. Korzeń pieprzowca, rozpuszczony w wodzie za pomocą wiązki włókien z kory hibiscusa, rozmieszany czarnymi (cały czas myślałem, czy aby czystymi?) rękami, jest ponoć lekko podniecający. Podniecał mnie jedynie do oporu — na ogół nie gustuję w konsumpcji mułu z mydłem. Ale protokół obowiązujący przy przygotowaniu i picu napoju — owe pomruki, oklaski, gesty i miny — wydał mi się interesujący. Picie *y a q o n y* jest rytuałem religijno-towarzyskim, nie wolno go nikomu lekceważyć. Rytuał ma swoją historię, zapewne swoje uzasadnienie. Być może, jest czymś w rodzaju palenia fajki pokoju. Wiadomo, że niegdyś wypicie tego napoju przez gościa, gwarantowało mu bezpieczeństwo. Nie zabijano nawet wroga, jeżeli przedtem wypito z nim *y a q o n e*. Dlatego trzeba stłumić w sobie grymasy obrzydzenia i robić zadowoloną minę. Tak właśnie postępowałem, choć mdliło mnie potężnie.

Jeszcze słowo o dziwnych obyczajach. W domu pewnego Anglika obserwowałem przez dłuższy czas rozwój wypadków z „zaczarowaniem” jego fidzijskiej żony przez „złą czarownicę”. Kobieta badana była przez europejskich lekarzy, znajdowała się pod stałą opieką światłej rodziny męża, a pomimo to działy się z nią rzeczy osobliwe. Była niewątpliwie ofiarą sugestii, może hipnozy.

Ktoś powiedział mi: — „Rząd, prasa, radio i ludzie za dużo zajmują się metafizyką, działalnością 200 szarlatanów i znachorów, setek



dzikich czarowników, za mało zaś skomplikowaną rzeczywistością. 80 procent Hindusów na wsi nie ma własnej ziemi, nic dziwnego, że tak wielu z nich jest wyznawcami krwawej bogini Kali; oni także spacerują po rozpalonych żużlach i odbywają inne praktyki. Fidzijscy są często bierni, pozbawieni inicjatywy, lekający się odpowiedzialności — trudno się temu dziwić, jeżeli w kraju nadal obowiązuje żelazna zasada autorytetu chiefów, którzy do niedawna wydawali zezwolenia na każdorazowe opuszczenie wsi przez mieszkańców.”

Tradycyjna rzymska maksyma, której tu tak dokładnie przestrzegali Brytyjczycy, „Dziel i rządź”, jest już przez młode fidzijskie pokolenie kategorycznie odrzucana. Trwająca izolacja międzyrasowa — zresztą, jak na razie, niezbyt eksplozywna (do niewielkich zamieszek doszło tylko w latach 1958 i 1968) — wzajemna nieprzenikalność, odmienność religii, zwyczajów, sposobu bytowania i odżywiania, wszystko to tworzy barierę, którą trudno obalić. Fidzi

jest jednak ojczyzną zarówno Fidżijczyków, jak i Hindusów. Nowy hymn narodowy eksponuje przede wszystkim słowa „jedność” i „razem”. Istnieje świadomość wspólnej przeszłości, nawet jeżeli ta przeszłość nie była tak zupełnie wspólna (pierwsza grupa 500 mieszkańców Indii przybyła tu w roku 1879 na statku „Leonidas”).

Tak czy inaczej, archipelag Fidżi — niegdyś jedno z ognisk ludożerstwa na Pacyfiku — steruje ku nowoczesności.

POĆWIARTOWANY PACYFIK

Gdzieś na szlakach między Polinezją Francuską a Nową Zelandią skorzystałem z usług towarzystwa lotniczego Air Pacific. Nie jest to linia podobna do KLM czy Air France, ale nie o to w tej chwili chodzi.

Przedstawiciel owego znakomitego towarzystwa wręczył mi rozkład lotów, w którym było wiele ciekawych rzeczy.



Tak więc pod efektownym hasłem „Discover the friendly Pacific” („Odkryj przyjazny Pacyfik”), tuzinem tabel z nazwami miejscowości absolutnie egzotycznych i nieznanymi, znajdowała się w rozkładzie taka reklama:

Jedynie Air Pacific lata do:

- niepodległego państwa Samoa Zachodniego
- protektoratu Wysp Salomona
- kondominium Nowe Hybrydy
- kolonii Wysp Gilberta i Ellice

- terytorium Papua i Nowa Gwinea
- królestwa Tonga
- republiki Nauru
- wysp Fidżi

Redaktor powyższego ogłoszenia najwyraźniej bawił się urozmaiconym statusem politycznym wysp na Oceanie Spokojnym. Z wyjątkiem Fidżi — które jest krajem macierzystym towarzystwa lotniczego — wszystkie punkty lądowań zostały mniej lub bardziej precyzyjnie określone.

Bogactwo dzisiejszej geografii politycznej regionu Pacyfiku objawia się nie tylko w rozkładach lotów. Podróżujący po tych obszarach studiują uprzednio specjalne wydawnictwa, by zapoznać się z przepisami, obowiązującymi w różnych krajach.

Oceania dzieli się (choć to zmienia się niemal z miesiąca na miesiąc) na 28 jednostek polityczno-administracyjnych, w tym 5 państw niezależnych, 21 posiadłości krajów kolonialnych i powierniczych i 2 okręgi, stanowiące jednostki administracyjne państw, leżących poza Oceanią.



Można dostać zawrotu głowy, kiedy się patrzy na polityczną mapę Pacyfiku. Pokreślono ją prostymi liniami granic, co przypomina trochę obraz mapy Stanów Zjednoczonych. Granice tutaj są jeszcze bardziej abstrakcyjne niż wszystkie inne na świecie, albowiem „wytoczono” je na wodzie.

Cała ta groteskowa mozaika stanowi, oczywiście, proste odbicie minionych wydarzeń historycznych, rezultat walki mocarstw kolonialnych o każdy strzęp ziemi, z której można było coś wycisnąć.

Myliłby się ten, kto by sądził, że wszystko co złe, jest przeszłością, i teraz już dwa tuziny wysp i archipelagów zmierzają prostą drogą ku niepodległości. Rzeczywistość przedstawia się inaczej. Trwa nadal walka o wpływy i — mówiąc brutalniej — o władzę na tych terenach pomiędzy państwami tradycyjnego i nowego kolonializmu. Dość spojrzeć na wysiłki Francji, pragnącej zatrzymać dla siebie Polinezję, którą mianowano „prowincją francuską”, czy na proces zachowania stanu posiadania USA w Mikronezji i na wyspach z nią sąsiadujących (Guam, Wake, Samoa Wschodnie).

Jeżeli mimo wszystko na Pacyfik docierają coraz to silniejsze prądy autentycznie niepodległościowe, wywołuje to zaniepokojenie dotychczasowych dysponentów.

Niedawno ukazał się w dzienniku „International Herald Tribune” cykl artykułów znanego amerykańskiego publicysty, który — wyraziwszy niezadowolenie z powodu dojścia do władzy rządów socjalistycznych w Australii i Nowej Zelandii — podkreślił rosnące znaczenie militarne obszaru Oceanu Spokojnego. Stwierdził on: „... znamienny jest wzrost nastrojów nacjonalistycznych wśród mieszkańców słabo za-

ludnionych raf i atoli, którym jeszcze nie przyrzeczono niepodległości w epoce powstawania nieszczęśliwych mini-państw.” Tu padł przykład republiki Nauru, która liczy 6.000 mieszkańców (w rzeczywistości — 7.000). W końcu publicysta amerykański oświadczył bez ogródek: „Bardzo trudno jeszcze przewidzieć przyszłość tych wysp. W większości mogą stać się one — jeżeli pozwoli im się samym decydować — jedynie międzynarodowymi żebrakami.”

Innymi słowy: będzie się o ich losie decydować gdzie indziej. Rzekomo we własnym interesie wyspiarzy.

Wydaje się, że niektórzy aktualni właściciele (oczywiście prawem kaduka) nie podjęli jeszcze decyzji, co do sposobu pozostania lub odejścia. Stany Zjednoczone przede wszystkim, lecz także Francja i Wielka Brytania, nie mają jasnej koncepcji ukształtowania współczesnych dziejów wielu wysp i archipelagów.

Najbardziej niepewni i niezdecydowani wydają się Amerykanie. Z jednej strony ciągle jeszcze — choć nieco ciszej — szermują hasłami walki z kolonializmem i chwalać się, że nigdy nie byli mocarstwem kolonialnym. Z drugiej strony istnieją na Pacyfiku, i nie tylko tu, realne fakty, które zaprzeczają tamtym twierdzeniom.

Sprawa Guam i Wake i także chyba Samoa Wschodniego, jest już mniej więcej zdefiniowana: to będą integralne części Stanów z takim lub innym statusem (przykład Porto Riko udowodnił, że wszystko jest możliwe). Gorzej z całym mnóstwem „drobiazgu” mikronezyjskiego, to znaczy Karolinami, wyspami Marshalla, Marianami itd. W sumie 2141 wysp, zgrupowanych w 96 archipelagach, zamieszkałych przez około 105 tysięcy ludzi. Do tego

dochodzi jeszcze nieco wysp na środkowym Pacyfiku.

Formalnie rzecz biorąc, Karoliny, wyspy Marshalla i Mariany stanowią terytorium powiernicze Narodów Zjednoczonych. W praktyce ramię ONZ jest zbyt krótkie, by tu sięgać, więc wszystkim bez oporów i kompleksów rządzi Waszyngton.

Mieszkańcy Oceanii są, jak wiemy, pogodnego ducha. Znoszą jak dotychczas dość biernie obce panowanie. Nie znaczy to, by powoli nie dojrzewali do bardziej kategoriycznych żądań. We wszystkich niemal krajach, gdzie urzędują zagraniczni gubernatorzy, rzecznicy obcych interesów, umacniają swe siły i wpływy patriotyczne organizacje polityczne. Tak np. w Polinezji Francuskiej, która stanowi „terytorium zamorskie” tego państwa, działa kilka partii politycznych, domagających się pełnej niepodległości. W Papua i Nowej Gwinei istnieją organizacje niepodległościowe o różnych koncepcjach przyszłościowych — jedne domagają się podziału i secesji Nowej Brytanii i wysp przybocznych, i utworzenia wraz z wyspami Salomona niepodległej Melanezji, inne są za niepodległą zjednoczoną Nową Gwineą*. Niekiedy — bardzo rzadko — dochodzi do interwencji organizacji Narodów Zjednoczonych; tak np. Komitet Specjalny ONZ do Spraw Dekolonizacji poddał krytyce brak postępu w kierunku uzyskania autonomii wewnętrznej przez brytyjsko-francuskie kondominium Nowe Hybrydy; na XXVI sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ uchwalono rezolucję, potwierdzającą prawo ludności Nowych

* Ci ostatni zwyciężyli. W końcu 1973 roku Nowa Gwinea uzyskała niepodległość.

Hybryd do samostanowienia i niepodległości.

Epizodem humorystycznym z zakresu geografii politycznej tego rejonu świata była próba utworzenia nowego suwerennego państwa.

Ponieważ epizod jest dość niezwykły, warto mu poświęcić chwilę uwagi. Chodziło o okruch lądu, położony około 700 kilometrów na południowy wschód do Fidżi i 450 kilometrów od Tonga. Wysepka znikiała z powierzchni morza w czasie przyływów, a wynurzała się przy odpływach. Odkryło ją w początkach 1972 roku trzech młodych Amerykanów z fundacji, zajmującej się badaniem życia na oceanach. Odkrywczy — i ich protektorzy — postanowili utworzyć z koralowej wysepki placówkę światowego biznesu. Chcieli powołać do życia jeszcze jedno mini-państewko, które stałoby się rajem podatkowym i celnym. W związku z tym proklamowali utworzenie Wolnej i Niezależnej Republiki Minerva i mianowali prezydenta, którym został niejaki Morris Davis. Dookoła rafy zakotwiczyli świetne boje, a samą wysepkę zaczęli „uzupełniać” piaskiem i gruzem — pragnęli doprowadzić ją do kształtu, na który nie miałyby wpływu ruchy oceanu. Podobno zainwestowali w przedsięwzięcie blisko ćwierć miliona dolarów.

Aliści król i władca stu sześćdziesięciu wysp Tonga, czyli Przyjacielskich, Toufa-ahau Tupou IV, nie miał poczucia humoru i — po ekspedycji, w której osobiście wziął udział — zwołał parlament, który formalnie uchwalił aneksję Minerwy. I choć odkrywczy wysepki i założyciele nowego państwa odgrażają się, iż złożą skargę w Organizacji Narodów Zjednoczonych, całą tę awanturę należy uznać za zakończoną. Jeden z amerykańskich tygodników zauważył w związku z tym, że nie było dotych-

czas precedensu, by jakieś państwo powstało z niczego i by jeszcze na domiar dwa razy dziennie znikало w morzu...

Historia współczesna Oceanii nie jest jednak w sumie zabawna. Ten ogromny obszar, część Trzeciego Świata, stanowi nadal teren ekspansji mocarstw kapitalistycznych, przede wszystkim zaś — ich prywatnych monopoli. W tym sensie należy patrzeć trzeźwo na formalne proklamacje niepodległościowe poszczególnych skrawków lądu. Wszystko zależy bowiem od stopnia ekonomicznej zależności oceanicznych kraików od Stanów Zjednoczonych, Francji, Wielkiej Brytanii czy Australii. Ale to już jest oddzielny temat.

W każdym razie poćwiartowano Pacyfik bardziej jeszcze niż uczyniła to sama natura.

I TU DOCIERALI RODACY

Gdzie nas nie ma! Trudno znaleźć taki zakątek Ziemi, na którym wcześniej czy później nie pojawiłoby się rodacy znad Wisły. Przypadki dziejowe zmuszały nas przez prawie dwa stulecia do szukania spokoju i szczęścia na szerokim świecie.

Trafiali Polacy i do dalekiej Oceanii. Żeglowali tam, kiedy jeszcze nie było to ani łatwe, ani wygodne. Gnała ich ciekawość, zainteresowania zawodowe lub naukowe, czasem zgola motywy nie zbadane.

Choć to nie będzie chronologicznie, zaczniemy od największej bodaj postaci: od Jana Kubarego, jednego z najwybitniejszych w świecie badaczy Mikronezji (1846-1896).

Kubary spędził prawie 28 lat na wyspach Oceanii. Udało mu się — jak nikomu innemu

w tym czasie — zbliżyć do krajowców, zrozumieć ich mentalność, poznać obyczaje i język. Ożenił się z dziewczyną z wyspy w archipelagu Palau (zachodnie Karoliny).

Rezultatem życia i działalności polskiego uczonego były badania, a także bezcenne zbiory etnograficzne, przyrodnicze i archeologiczne. Jest autorem wielu prac naukowych oraz ciekawych opisów podróży.

Urodził się w roku 1846 w Warszawie. Uczestniczył w konspiracji i w powstaniu styczniowym. Potem niespodziewanie załamał się psychicznie i zdradził zaborcom wiele tajemnic powstańców. Odtąd zaczęły go gnębić wyrzuty sumienia; nie ukończywszy studiów medycznych w warszawskiej Szkole Głównej, uciekł za granicę. W Hamburgu poznał bogatego armatora i właściciela muzeum etnograficznego, Cezarego Godeffroya, i z jego polecenia w maju 1869 roku popłynął na Pacyfik.

Pierwszym etapem podróży było Samoa, gdzie przebywał kilka miesięcy. Potem udał się na Wyspy Marshalla, a następnie Karoliny.

Badania Jana Kubarego objęły z czasem cały niemal obszar Oceanii. Odwiedził w sumie kilkaset wysp. Przebywał na nich od paru dni do wielu lat. Najczęściej podróżował łodziami tubylców. Lądował często jako pierwszy biały człowiek, nie unikał kontaktu z niebezpiecznymi grupami wyspiarzy.

Jak podaje Wacław Słabczyński („Polacy podróżnicy i odkrywcy”, PWN, Warszawa 1973):

„... Kubary zbierał okazy dla muzeów europejskich, prowadził obserwacje etnograficzne, opracowywał słowniki języków tubylczych, dokonywał odkryć przyrodniczych i archeologicznych, ustalał nomenklaturę wysp (zawsze





tylko tubylczą), wspinał się na góry i mierzył je, szkicował i poprawiał mapy wysp, wreszcie prowadził dziennik i przy tych wszystkich zajęciach nieustannie dokształcał się naukowo (...) Leczył też z powodzeniem krajowców, co zjednało mu ich życzliwość i przyjaźń (...) Wysyłane przezeń do Europy prace (pisane po polsku, francusku i angielsku, głównie jednak po niemiecku), oparte na badaniach autentycznych kultur Oceanii, nie zniekształconych jeszcze wpływami cywilizacji europejskiej, zyskały mu wielkie uznanie w kołach naukowych Europy”.

Ludwik Krzywicki stwierdził zaś co następuje:

„Studia naszego ziomka (...) są przyczynkiem do nauki, który zostanie na zawsze. Mówimy wyraźnie „na zawsze”, świadomi tego zwrotu.”

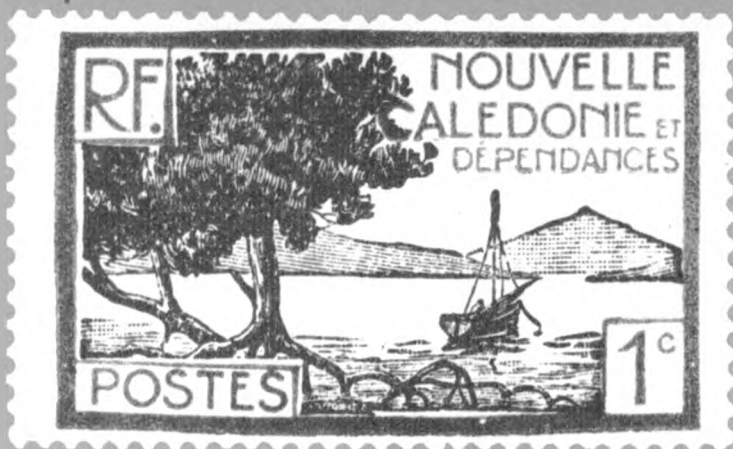
Równie entuzjastyczne oceny działalności naukowej wydali o nim wybitni uczeni w wielu krajach.

Sporo prac Kubarego uległo zniszczeniu w czasie tajfunu na wyspie Ponape. Podzieliły ten los dokumenty i fotografie, znajdujące się w posiadaniu córki uczonego, Belli, która straciła je w czasie okupacji japońskiej w Singapurze.

Jan Kubary dwukrotnie odwiedzał Polskę — w latach 1875 i 1894. Uczestniczył w II i VI Zjeździe Lekarzy i Przyrodników Polskich we Lwowie. Na II Zjeździe wygłosił odczyt, na VI zaś oświadczył, że uważa się za Polaka i reprezentuje polską myśl naukową na Pacyfiku. Wyraził chęć powrotu do kraju.

Zmarł nagle na wyspie Ponape, prawdopodobnie na zawał serca. Postawiono mu tam — z inicjatywy uczonych europejskich — pomnik.

Kubary jest na pewno postacią kontrower-



syjną, a nie wszystkie szczegóły z jego życia zostały do końca wyświetlone. Nie ulega wszelako najmniejszej wątpliwości, że był uczonym wielkiej miary, a jego naukowe penetracje „wodnego kontynentu” mają ogromne znaczenie.

Wtedy, przed stuleciem, na wyspach Polinezji istniały jeszcze pierwotne, stosunkowo mało zmienione przez obce wpływy, lokalne kultury. Każdy z archipelagów czy nawet każda z poszczególnych wysp, miały własną, niepowtarzalną specyfikę etnograficzną. Byli więc wyspiarze posługujący się kamiennymi pieniędzmi, wielkimi jak młyńskie koła. Gdzie indziej istniały oryginalne obyczaje małżeńskie. Kubary zwiedzał te wyspy, prowadził badania naukowe, opisywał, niekiedy jako pierwszy i jedyny badacz, owe zwyczaje i osobliwości.

Od czasów Kubarego zaszły w Oceanii głębokie przemiany ekonomiczne i społeczne, dawne struktury społeczne uległy zniszczeniu, sztuka zubożała. Te wyspy są nie tylko w etno-

graficznym, lecz często i w przyrodniczym sensie czymś zupełnie innym niż kiedyś. Jan Kubary zanotował i utrwalił to, co jest dzisiaj historią.

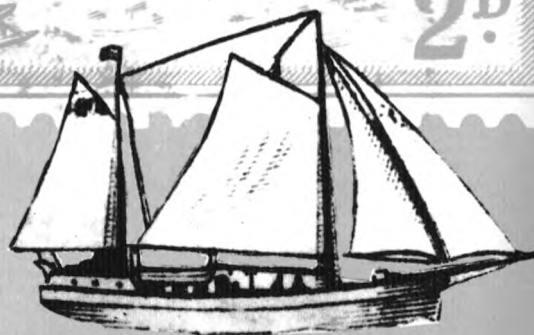
Tyle o Kubarym. Skoro już zaczęliśmy mówić o polskich podróżnikach achronologicznie, wymienimy od razu trzy inne niewątpliwe wielkości: Paweł Edmund Strzelecki, Sygurd Wiśniowski i Bronisław Malinowski.

Pawła Strzeleckiego (1797-1873) uważa się za największego polskiego podróżnika wszystkich czasów. Choć nazwisko jego związane jest głównie z Australią, gdzie prowadził badania



geologiczne i mineralogiczne (odkrył m.in. bogate złoża złota) i gdzie szczyt najwyższy nazwał imieniem Kościuszki — podróżował po całym świecie, zatrzymując się m.in. dłużej na Markizach, Hawajach i Wyspach Towarzystw. Za książkę o Australii — którą bardzo wysoko ocenił Karol Darwin — otrzymał złoty medal Royal Geographical Society w Londynie, a współczesny Strzeleckiemu geolog australijski, Lewis, nazwał książkę „dziełem klasycznym”.

Na Pacyfik trafił też popularny pisarz dzie-



więtnastowieczny, Sygurd Wiśniowski (1841-1892), który po zwiedzeniu Ameryki i Australii dostał się i na wyspy mórz południowych. Napisał sporo książek, do których materiał czerpał z przeżyć podróżniczych. Jednym ze znanych utworów są „Dzieci królowej Oceanii”. Wiśniowski był m.in. obecny na Fidżi w czasie uroczystości koronacyjnych króla Thakombaua, co zrelacjonował. Przeżył wiele przygód, które po powrocie do kraju — w 1872 roku — spisał i częściowo wydał (4 książki). Sienkiewicz powiedział, że pisarska działalność Wiśniowskiego „rozszerza horyzont widzenia”.

I wreszcie ostatni z wielkich: Bronisław Malinowski (1884—1942), etnolog, antropolog, socjolog, wybitny badacz kultur i obyczajów. W latach 1914—1918 prowadził na Nowej Gwinei i Wyspach Triobrandzkich badania, które przyniosły mu światowy rozgłos. Od 1927 roku był kierownikiem specjalnie dla niego utworzonej katedry antropologii na uniwersytecie w Londynie, w latach 1930—1938 — jednym

z kierowników Instytutu Kultur i Języków Afryki w Londynie, wreszcie od 1938 roku — profesorem uniwersytetu Yale w USA. W latach II wojny Malinowski stanął na czele Instytutu Polskiego w Nowym Jorku.

Zasługą Bronisława Malinowskiego jest opis i analiza sposobów gospodarki, wierzeń i życia wielu grup etnicznych ludów Oceanii. Miał ogromne osiągnięcia w dziedzinie metodologii antropologii społecznej. Pozostawił dorobek w postaci 7 wybitnych książek naukowych.

Na wody Oceanii docierali i inni, nie zawsze tak sławni, tak znakomici. Było wśród nich wielu odważnych, inteligentnych podróżników.

Na przykład pochodzący z Francji, ale osiadły w Polsce Karol de Nassau (warszawska ulica Dynasy ma związek z jego nazwiskiem), który był uczestnikiem słynnych wypraw Bougainville'a i brał udział m.in. w odkryciu archipelagów Tuamotu i Nowe Hybrydy. De Nassau lądował na wielu wyspach Oceanii, m.in. Tahiti i Samoa, dotarł aż do południowego cypla Ziemi Ognistej.

W latach po powstaniu listopadowym podróżował wśród wysp Oceanii inżynier Adam Joachim Kulczycki (1809—1882). Zajmował się badaniami z zakresu astronomii, geologii, kartografii. Jeszcze za panowania królowej Pomare przebywał na Tahiti, gdzie opracował — używane po dziś dzień — mapy Tahiti i Moorei, tamże założył obserwatorium astronomiczne. Zmarł na Tahiti.

Albo Marceli Maksymilian Łukowicz (1858—1943), lekarz na Nowej Gwinei, potem podróżnik i znawca Australii. Lub Jerzy Henryk Bogusławski (1827—1884), meteorolog, którego nazwisko znalazło się m.in. na mapach Melanezji. I wielu, wielu innych.

Na koniec wreszcie trzeba przypomnieć jedną z najciekawszych postaci: Jerzego Forstera. A raczej — dwóch Forsterów: ojca Jana Rajnolda, i syna Jerzego. Panowie ci pochodzili z Gdańska, byli obywatelami polskimi, a Jerzy wykładał później na uniwersytecie w Wilnie.

Forsterowie byli członkami sławnej ekspedycji Cooka i to im zawdzięczać należy pierwsze kartograficzne i etnograficzne opisy wielu wysp Oceanii. Książka Jerzego o wyprawie (ceniona znacznie wyżej niż opisy Cooka) dała mu tytuł członka Royal Society w Londynie i wielu akademii zagranicznych. Humboldt napisał o Jerzym Forsterze: „Zawdzięcza się mu rozpoczęcie nowej epoki naukowych podróży, których celem były nauki porównawcze o ludach i krajach”. Dzięki wykładom wileńskim, rozbudził Forster w Polsce zainteresowanie naukami przyrodniczymi i szerokim światem.

Jak widać z tego krótkiego i bardzo wycinkowego przeglądu, z Polski na Pacyfik nie było znowu tak bardzo daleko, jakby to wynikało z kilometrażu. Swoją obecnością na oceanicznych wyspach „potwierdziliśmy powszechnie znaną prawdę o polskiej ruchliwości, witalności i nieprzepartej ciekawości świata.

SPIESZCIE SIĘ!

Popularny w latach międzywojennych, znany także w Polsce, reporter Richard Katz tak pisał:

„Kto chce nacieszyć się jeszcze urokiem południowych mórz, ten musi się pospieszyć (...) Spieszcie się, jeżeli chcecie znaleźć tu jeszcze odbłaski waszych marzeń! Istnieją jeszcze wyspy nie zbeszczeszczone przez żadnego żandarma, żadne Towarzystwo Fosfatowe, bywają

jeszcze miękkie znużone wieczory, których nie przerywa żadna syrena okrętowa, żadne trzaskanie kodaków, wieczory nad zielonymi lagunami, w których ogniem iskrzą się złote ryby, z daleka wokół koralowych raf w otoczy białych pian płyną kanoe, na wybrzeżach cicho stoją palmy kokosowe, a daleko zielenieją pokryte dżunglą wulkany...”

Opinię Katza podziela do dziś wielu podróżników. I choć cywilizacja czyni destrukcyjne postępy, ciągle jeszcze Pacyfik jest wodą (i ziemią!) o uroku wyjątkowym. Wszystko jest zresztą względne: zniszczenie środowiska człowieka w Europie czy Ameryce jest tak wielkie że w porównaniu z tym naruszenie krajobrazu, obyczajów i sposobu życia na wyspach Oceanii nie potrafi pohamować nas od zachwytu nad pierwotnością tych stron.

Mówiliśmy tu o kolonizatorach, odkrywcach, podróżnikach, naukowcach, o wszystkich tych białych, których przygnała tu taka lub inna pasja, których pociągnęła cudowna przyroda i klimat tego rejonu świata. Trzeba jednak dodać w tym miejscu, że morza południowe były również przez wieki terenem operacyjnym tysięcy hochsztaplerów i przestępców. Tenże Katz zauważył w swej głośniejszej książce „Żniwo wędrówek”: „Zapytanie białego na Południowych Morzach o jego przeszłość uchodzi za nieprzyzwoitość. Kto się ukrywa w ciszy palm z dala od Europy, ten zazwyczaj ma dla takiego dobrowolnego wygnania ważniejsze powody niż przypuszczają autorzy nowel o Pacyfiku. Rzadcy są tu romantyczni marzyciele, szukający powrotu do natury!”

Katz pisał to jeszcze przed ruszeniem wielkiej fali turystyki. Przemysł turystyczny samolotami przerzuca teraz na najdalsze wyspy grupy

białych i żółtych, którzy co prawda nie są marzycielami, lecz także przeważnie nie mają złych zamiarów.

Pomimo wszystko dalekie archipelagi Oceanii zachowały jeszcze swoje sekrety. Stanowią one do dziś silny magnes dla ludzi, poszukujących egzotyki światów, które gdzie indziej dawno przeminęły. Niestety magnes przyciąga także wojskowych, kupców, pośredników, całą międzynarodową żulię cwaniaków, którzy traktują wyspy i ich mieszkańców jak towar do wykorzystania.

George Mikes, węgiersko-brytyjski humorysta, przytacza rozmowę, jaką przeprowadził kiedyś z pewnym stałym amerykańskim mieszkańcem Tahiti. Ów człowiek wspominał całkiem niedawne jeszcze czasy, kiedy Polinezja była mniej lub bardziej odcięta od świata, gdy sklepiki Papeete świeciły raz po raz pustkami, z powodu niedopłynięcia na czas statku z potrzebnymi artykułami. „Nagle braki dawały mocną świadomość życia na wyspach. Dziś sklepy wyglądają jak supermarkety w Nowej Zelandii ...” Po chwili westchnął: „Dajcie mi z powrotem tamte braki, a będę znowu szczęśliwy!”

No właśnie, czym naprawdę jest szczęście? W pewnej sytuacji — posiadaniem czegoś. W innej — możliwością nieposiadania.

Kontynent pełen wody pociąga nas zarówno tym co na nim jest, jak tym czego tam jeszcze nie ma.



MAŁA ENCYKLOPEDIA

PACYFIK — zwany także Oceanem Spokojnym, a nawet Oceanem Wielkim, jest największym wodnym obszarem świata. Rozlewa się między kontynentem obu Ameryk na wschodzie, Azją i Australią na zachodzie i Antarktydą na południu. Zajmuje połowę powierzchni oceanów kuli ziemskiej. Rozciągłość południkowa wynosi około 16 tysięcy kilometrów, równoleżnikowa — ponad 20 tysięcy. Dno Pacyfiku przecinają tzw. rowy, niektóre z nich dochodzą do 11 kilometrów głębokości. Temperatura na równiku przez cały rok — 28-29 stopni Celsjusza. Ocean jest stosunkowo mało zasolony. Życie roślinne i zwierzęce — bardzo bogate, istnieje tu np. blisko 4 tysiące gatunków glonów.

OCEANIA — stanowi razem z Australią odrębną część świata o łącznej powierzchni 8.936.468 km kwadratowych, zajmując ok. 6 procent powierzchni lądowej kuli ziemskiej. Oceania składa się z licznych archipelagów i wysp na Pacyfiku o łącznej powierzchni 1.232.309 km kwadratowych (tylko 1,5 procent tej powierzchni znajduje się na północ od równika).

POLINEZJA — jeden z czterech głównych regionów Oceanii. Obejmuje wyspy leżące w środkowej części Oceanu Spokojnego, na wschód od 176 stopnia dł. geogr. wsch. W skład Polinezji wchodzi wyspy: Hawaje, Lagunowe (Ellice), Feniks, Tonga, Tokelau, Cooka, Samoa, Line, Tubuai, Markizy, Towarzystwa, Tuamotu, Wielkanocna i in. Ogólna powierzchnia Polinezji — ok. 43 tysiące km kwadratowych, ludności — ok. 1,1 miliona (z czego pół miliona czystej krwi Polinezyjczyków).

MELANEZJA — grupa wysp w zachodniej części Oceanu Spokojnego, odrębny region Oceanii. Główne wyspy i grupy wysp: Nowa Gwinea, Archipelag Bismarcka, Wyspy Salomona, Nowe Hybrydy, Nowa Kaledonia, Fidzi i in. Ludność: ok. 3,2 mln. Powierzchnia ok. 967 tysięcy km kwadratowych.

MIKRONEZJA — część Oceanii, obejmująca grupy małych wysp — Mariany, Karoliny, W. Marshalla, W. Gilberta, Nauru, Ocean. W sumie — ok. 1500 wysp o łącznej powierzchni 3420 km kwadratowych i 200 tysiącach mieszkańców. Na Marianach czynne wulkany. Na wyspach Nauru i Ocean — wydobycie fosforytów.

NOWA GWINEA — część Melanezji, druga co do wielkości (po Grenlandii) wyspa na świecie. Obszar — 829 tysięcy km kwadratowych, ludność — ok. 3,1 mln. Niektóre szczyty N.G. przekraczają 5 tysięcy metrów wysokości. Bujna, równikowa roślinność. Ludność — w większości Papuasi. Pod względem politycznym dzieli się na dwie części: Irian Zachodni (należy do Indonezji), i niepodległe państwo Papua-Nowa Gwinea. Wnętrze wyspy należy do najmniej zbadanych terytoriów kuli ziemskiej.

PAPUASI — ludność pochodzenia australoidalnego, zamieszkująca całą Nową Gwineę i stanowiąca ogromną większość wszystkich mieszkańców. Żyją przeważnie w głębi wyspy, często w niedostępnych dżunglach i wysokich dolinach górskich. Zajmują się myślistwem, rybołówstwem i rolnictwem. Są wojowniczy, posługują się do dnia dzisiejszego łukiem, oszczepem i maczugą. Wśród Papuasów zdarzają się nadal wypadki kanibalizmu.

NOWA ZELANDIA — najdalej na południe położona część Oceanii. Składa się z dwóch większych (Północnej i Południowej) i szeregu mniejszych wysp. Obszar: 268.655 km kwadratowych. Lud-

ność: 2.751 tys. (1968). Stolica Wellington. Ok. 210 tysięcy Maorysów, przedstawiciele pierwotnej ludności Nowej Zelandii.

RAFA KORALOWA — wał lub grzbiet podmorski, wychylający się nieco ponad poziom morza, a powstały głównie z nagromadzenia wapiennych szkieletów koralu i glonów. Występują na obszarach szelfowych strefy tropikalnej i subtropikalnej po obu stronach równika.

ATOL — wyspa koralowa o kształcie pierścienia, otaczającego fragment morza.

LAGUNA — część wód morskich, odcięta od morza np. przez mierzeję, rafę lub atol. Zazwyczaj płytka. Niekiedy zalewana lub odwadniana przez przyływy i odpływy oceanu.

PASATY — stałe wiatry wschodnie poniżej 30 stopnia obu szerokości geograficznych. Strefy pasatów rozgraniczone są pasem ciszy. Szybkość p. — około 5—6 km na godzinę.

TAJFUN — tropikalny cyklon w północno-zachodniej części Oceanu Spokojnego.

POWIERNICZE, TERYTORIA — terytorium zarządzane przez jedno lub więcej państw pod kontrolą ONZ. Na Pacyfiku pozostały Powiernicze Wyspy Pacyfiku (USA). System powierniczy pomysłany jest jako forma przejściowa do osiągnięcia przez narody pełnej niezależności.

KONDOMINIUM — czyli współpanowanie. Wspólne sprawowanie władzy nad jakimś terytorium przez dwa lub więcej państw (np. francusko-brytyjskie Nowe Hybrydy).

W pracy „Kontynent pełen wody” wykorzystano następujące źródła:

- B. Palmer i B. Dean: „South Pacific”, Fiji Times and Herald Ltd, Suva, Fiji 1972
- A. W. Reed: „The Story of the Pacific”, Reed, Wellington-Sydney, 1970
- Douglas L. Oliver: „The Pacific Islands”, Doubleday, N. York 1961
- George Mikes: „Boomerang”, A. Deutsch, London 1968
- St. Leszczycki i M. Fleszar: „Australia, Oceania, Antarktyka”, wyd. II, Wiedza Powszechna, Warszawa 1971
- „Świat w przekroju”, Wiedza Powszechna, Warszawa 1972
- „The Europa Year Book 1971”, A World Survey, Volume II, Europa Publications Ltd, London 1972